

Laura Iding

Peruwiańska misja

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W ciężkim wilgotnym powietrzu unosił się zapach egzotycznych kwiatów. Pobliski ocean monotonnie wybijał kojący rytm. Doktor Moriah Howe stanęła przed hotelem i uśmiechnęła się do siebie. Peru. Co za radość znów tu być. Po rocznej przerwie wracała do kraju, gdzie zawsze świeci słońce, a ludzie są przyjaźni. Wprost nie mogła się doczekać rozpoczęcia nowej misji.

Dziś wraz z kolegami z zespołu specjalizującego się w chirurgii plastycznej miała obejrzyć pacjentów i wybrać tych, którzy kwalifikują się do zabiegów. Idąc żwawo w stronę szpitala Trujillo, zastanawiała się, z jakimi przypadkami przyjdzie im się zmierzyć. Po drodze przystanęła przy fontannie i wrzuciła do wody monetę.

W zasadzie miała tylko jedno marzenie: wymazać z pamięci doktora Błake'a Powersa i raz na zawsze uwolnić się od związanych z nim wspomnień. Łudziła się, że powtórna, tym razem nieplanowana podróż do Peru pomoże zrealizować ten ambitny cel.

Właśnie dochodziła do szpitala, gdy nagle zaczęła ją starsza kobieta. Moriah zorientowała się, że jest czymś mocno wzburzona. Nie protestowała, gdy Peruwianka chwyciła ją za rękę i zarzuciła potokiem słów.

– Przepraszam, ale chyba nie wszystko rozumiem.

– Moriah obawiała się, że po rocznej przerwie nie może w pełni ufać swojej znajomości hiszpańskiego. – Proszę powiedzieć jeszcze raz, o co chodzi?

– O moją córkę. Ona potrzebuje pomocy. Niech pani ze mną idzie – powtórzyła Peruwianka i pociągnęła ją w stronę stojącego nieopodal samochodu.

Ledwie do niego podeszły, Moriah zbladła. Na przednim siedzeniu zauważyła skuloną dziewczynę, która, jak się okazało, była w zaawansowanym stadium porodu.

– Jak pani poczuje następny skurcz, niech pani oddycha.

Moriah położyła dłoń na twardym brzuchu rodzącej. Starła się mówić spokojnie, ale nie czuła się pewnie w roli położnej. Wprawdzie po studiach odbyła obowiązkowy staż na położnictwie, lecz jako anestezjolog znieczulała do cesarskiego cięcia, nie odbierała zaś porodów.

– Nie może pani tu zostać. Musimy szybko przenieść panią do szpitala – oznajmiła, rozglądając się gorączkowo. Niestety, o tak wczesnej porze ulice były puste. – Niech pani biegnie do izby przyjęć po wózek!

– poleciała starszej kobiecie.

Gdy ta oddaliła się z zaskakującą jak na swój wiek chyżością, Moriah przyklękła obok cierpiącej dziewczyny.

– Mam na imię Moriah, jestem lekarką – powiedziała, zniżając głos, tak by zabrzmiał kojąco i łagodnie. – Pani dziecku bardzo się spieszy na ten świat, ale musimy jeszcze poczekać. Pani mama zaraz przywiezie nam wózek.

– Nie wiem, czy wytrzymam, pani doktor. Strasznie mnie boli. Chyba zaraz urodzę –

jęknęła dziewczyna.

– Ja wiem, że bardzo panią boli, ale niech pani jeszcze nie prze! – Moriah starała się zachować zimną krew. Przecież nie może pozwolić, by dziecko urodziło się w samochodzie, jak na ironię stojącym parę metrów od szpitala.

Rasha, bo tak miała na imię dziewczyna, coraz głośniejsze jęczała z bólu.

– Niech pani będzie dzielna. I niech pani oddycha, to bardzo ważne. – Moriah współczuła jej z całego serca. Sama chciała mieć dużo dzieci, jednak w takich chwilach uświadamiała sobie, ile trzeba wycierpieć, by maleństwo przyszło na świat.

Dziewczyna miała regularne skurcze, mniej więcej co dwie minuty. Moriah zdawała sobie sprawę, że zostało niewiele czasu. Zdesperowana już miała wcisnąć klakson, gdy od strony szpitala nadbiegła matka Rasy. Tuż za nią szła pielęgniarka z wózkiem.

– Musimy się spieszyć! – rzekła Moriah, nie dając jej szans na złapanie oddechu. – Skurcze są silne i regularne. Osluchalam serce dziecka i według mnie wszystko jest w porządku – relacjonowała, pomagając przenieść Rasę na wózek. Postanowiła pójść razem z nią do izby przyjęć, bo chciała mieć pewność, że zostanie otoczona należyłą opieką.

Lekarz dyżurny i jego zespół okazali się doskonałymi fachowcami. Szybko i sprawnie zajęli się dziewczyną, która przez cały czas kurczowo ścisnęła Moriah za rękę.

– Muszę zbadać pacjentkę. – Znaczące spojrzenie dyżurnego lekarza wyraźnie mówiło, że Moriah powinna zostawić go sam na sam z rodzącą. Rozumiała jego intencje.

– Mam wyjść? – szepnęła, pochylając się nad dziewczyną.

– Nie! – zawołała Rasha, z całej siły zaciskając palce na jej dłoni. – Błagam, niech pani nie zostawia mnie samej. Tak bardzo bym chciała, żeby Manuel tu ze mną był!

– Za chwilę zacznie pani rodzić – oznajmił lekarz, zanim Moriah zdążyła się upewnić, czy Rasha mówi o ojcu dziecka. – Wezwijcie tu kogoś z położnictwa – polecił i zaczął przygotowywać się do przyjęcia porodu.

Co za szczęście, że zdążyliśmy! Moriah wreszcie mogła odetchnąć z ulgą. Powinna zawołać matkę dziewczyny, ale po pierwsze nie wiedziała, gdzie jej szukać, a po drugie w pobliżu nie było nikogo, kto miałby czas się tym zająć.

– Nie zdążymy przewieźć pani na salę porodową – uprzedził wezwany położnik. – Musi pani rodzić tutaj.

– Zaraz zacznie pani przeć. – Moriah delikatnie pogłaskała dziewczynę po głowie. – Jeszcze trochę cierpliwości i będzie pani miała swoje maleństwo.

– Przy następnym skurczu proszę z całej siły przeć – polecił położnik.

Nareszcie. Moriah czuła nie mniejszą ulgę niż sama rodząca. Parę chwil później donośny krzyk dziecka oznajmił jego przyjście na świat. Moriah z zachwytem patrzyła na maleństwo, które natychmiast przyssało się do piersi mamy. Radość z cudu narodzin mieszała się w jej sercu z bolesną tęsknotą.

– To dziewczynka. Ma pani śliczną córeczkę – szepnęła. – Poszukam pani matki. Na pewno chce zobaczyć wnuczkę.

– Dziękuję. – Dziewczyna na przemian śmiała się i płakała. I ani na moment nie odrywała oczu od swej córki.

Moriah odszukała starszą panią.

– Proszę wejść do sali – powiedziała, uśmiechając się zachęcająco. Jeszcze przez chwilę popatrzyła na szczęśliwą rodzinę, a potem upewniła się, że nie jest już potrzebna i postanowiła wracać do swoich obowiązków.

– Na mnie już czas. Jeszcze raz gratuluję ślicznej córeczki. Zajrzę do pani później – obiecała.

– Serdecznie dziękujemy za pomoc, pani doktor. – Matka dziewczyny miała w oczach łzy wdzięczności.

Moriah skinęła tylko głową i dyskretnie wymknęła się z sali. Ledwie zamknęła za sobą drzwi, opadły ją myśli, które na co dzień odsuwała od siebie jak najdalej. Od zawsze marzyła o tym, żeby mieć własną rodzinę. Przez moment łudziła się, że ma szansę stworzyć ją z Blakiem. Okazało się jednak, że to, na czym tak bardzo jej zależy, na zawsze pozostanie w sferze marzeń.

Nie zamierzała psuć sobie humoru roztrząsaniem dawnych rozczarowań. Kiedy po raz drugi stanęła na rozgrzanej i parnej ulicy, naszła ją refleksja, że luty w Peru w niczym nie przypomina mroźnego miesiąca z jej rodzinnych stron. Na środkowym zachodzie Stanów była teraz pełnia zimy; jej licznej rodzinie czerwieniały na mrozie nosy, podczas gdy ona na drugiej półkuli wylewała z siebie siódme poty.

Kiedy weszła do sąsiadującej ze szpitalem kliniki, w korytarzu kłębił się już tłum. Kolejka oczekujących na badania dopiero zaczynała się ustawiać, więc Moriah nie musiała mieć wyrzutów sumienia, że ktoś musiał przez nią czekać. Czasu jednak było niewiele, więc od razu ruszyła w stronę gabinetu. Po drodze wzięła z bufetu szklankę soku z papai. Nagle ktoś ją potrafił; niewiele brakowało, a oblałaby czysty fartuch.

– Najmocniej przepraszam!

Słyszając boleśnie znajomy męski głos, drgnęła i odwróciła się gwałtownie. Wystarczyło jedno spojrzenie na wysokiego blondyna w chirurgicznym kitlu, i doznała szoku. Tak wielkiego, że dopiero po paru sekundach zdołała wykrztusić:

– Blake...

– Moriah! – W błękitnych oczach mężczyzny pojawił się radosny błysk.

Tymczasem ona miała w głowie kompletny zamęt. Nie mogąc wymyślić na oczekaniu sensownego powitania, wpatrywała się w niego z taką miną, jakby zobaczyła ducha. Blake? W Peru? Skąd u diabła się tu wziął?

– Co tu robisz? – zapytała w końcu szorstko. Nie chciała, by jej drżący głos zdradził, jak bardzo jest spięta.

– Nie wiesz? – zdziwił się. – Poproszono mnie, żebym zastąpił Eda Grangera. U jego żony, Dianę, lekarze wykryli raka piersi. – Urwał, po czym dodał: – Nie mogłem odmówić. Ta misja jest dla Eda ogromnie ważna. Nie chciałem sprawić mu zawodu.

– Wiem o chorobie Dianę – odparła, myśląc, że los chyba się na nią wziął. – Przyjechałam tu zamiast niej.

To tyle, jeśli chodzi o ambitny plan, by raz na zawsze wymazać Blake'a z pamięci. Dlaczego wcześniej nie sprawdziła, który z chirurgów zastępuje Eda? – wyrzucała sobie

poniewczasie. Jak na ironię ich zespół nie leciał jednym samolotem; część kolegów dotarła na miejsce dzień wcześniej.

– Ja też nie mogłam odmówić – dodała po chwili. Ze zdenerwowania ścisnęła szklanekę tak mocno, że aż zbiały jej kostki. – Nie musiałam się szczepić, bo zeszłoroczne szczepionki jeszcze działają. Poza tym uważałam, że jestem to winna Dianę. Ona również żyła tylko tą misją.

– Wiem. – Z miny Blake’a nie dało się wyczytać, jakie wrażenie wywarło na nim to niespodziewane spotkanie. – A więc znów tu jesteśmy, razem, w pięknym Peru.

Powstrzymała się, by nie chlusnąć mu sokiem w twarz.

– Nie pochlebiaj sobie, Blake. Nie jesteśmy tu razem – powiedziała sucho. – Jestem pewna, że przy odrobinie dobrej woli uda nam się nie wchodzić sobie w drogę.

– Oczywiście. – Chrząknął i dopiero po chwili odważył się spojrzeć jej w oczy. – Przykro mi z powodu Dianę. Wiem, że się przyjaźnicie.

– To niezwykle silna kobieta. Wyjdzie z tego.

– Nie wątpię. Zwłaszcza że ma w tobie pomoc i oparcie. – Blake powiedział to łagodnie, tonem dodającym otuchy.

Tak samo mówił do niej przed rokiem, gdy otrzymali wiadomość o śmierci Ryana. Do jasnej cholery, przecież wcale nie chciała pamiętać, jaki był wtedy dla niej czuły. Nie chciała, żeby budził w niej jakiegokolwiek ciepłe uczucia. Przede wszystkim zaś nie chciała wspominać cudownej nocy, którą spędzili, kochając się do utraty tchu.

Uprawiając seks, poprawiła się natychmiast, z premedytacją podsycając własne rozgoryczenie. To, co im się wtedy przydarzyło, było jedynie jednorazową erotyczną przygodą. I właśnie tej wersji powinna się trzymać.

– Lepiej bierzmy się do pracy – rzuciła, pospiesznie dopijając sok. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym zostać w tym gabinecie.

– Nie ma sprawy. Ja ulokuję się na końcu korytarza. Pewnie myślał, że zajmując tak oddalony gabinet, wyświadcza jej przysługę. Nic bardziej mylnego. Wystarczyła jej sama świadomość, że on tu jest. Wcale nie musiała go widzieć, by odżyły najbardziej bolesne wspomnienia.

Od roku wiedziała, że Blake nie jest mężczyzną dla niej. Tak jak nie był nim Ryan. Czemu więc nie potrafi przekonać swego głupiego serca, by wreszcie przestało się do niego wrywać?

Kilka godzin później przycupnęła na krześle pośrodku ciasnego gabinetu. Z wysiłku bolały ją plecy, piekły zmęczone oczy, mimo to czuła radosne podniecenie. Intensywna praca okazała się skutecznym lekarstwem na jej osobiste problemy. Wystarczyło, że przez gabinet przewinął się tłum chorych, i od razu nabrała dystansu wobec własnych kłopotów. Ludzie, którzy zgłosili się dziś na badania, nie mieli żadnej pewności, że zostaną zakwalifikowani do darmowych zabiegów. A jednak cieszyła ich już sama perspektywa otrzymania pomocy, która w normalnej sytuacji była dla nich nieosiągalna. W ciągu najbliższych trzech tygodni Moriah i jej koledzy mieli likwidować im blizny po oparzeniach, usuwać ślady po nieszczęśliwych

wypadkach oraz korygować wady, – z którymi przyszedli na świat.

Moriah usłyszała, że do gabinetu wchodzi Blake i George Litmann. Oni jednak byli tak pochłonięci rozmową, że nawet jej nie zauważyli.

– Zakwalifikowaliśmy dwudziestu pacjentów. Najmłodszy to trzymiesięczne niemowlę, najstarszy ma czterdzieści lat. Będziemy mieli pełne ręce roboty – mówił Blake.

– Zastanawiam się, czy nie powinniśmy zacząć od dzieci... – zamyślił się George. – Nie żebym spisywał na straty starszych, ale przed tymi biednymi dzieciakami jeszcze całe życie...

Moriah z uwagą przysłuchiwała się ich rozmowie. Wtrącała się, gdy zaczęli zastanawiać się, czy zdołają zoperować jeszcze jednego pacjenta.

– Jedyna możliwość to wziąć go na stół w niedzielę. – Blake był wyraźnie poruszony losem poparzonego mężczyzny. Słyszając jego zafrasowany głos, Moriah nie mogła pozostać obojętna. W pracy nie ma miejsca na dąsy.

– Jeśli będzie trzeba, przyjdę w niedzielę – zaofiarowała się. Swoje zawodowe obowiązki traktowała poważnie, więc kiedy w grę wchodziło dobro chorych, potrafiła zapomnieć o urażonej ambicji. Była zresztą pewna, że jeśli odsunie na bok wątek osobisty, jej współpraca z Blakiem będzie możliwa. – Ja też uważam, że powinniśmy pomóc jak największej grupie pacjentów – dodała.

– Niestety, doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny, a szpital określoną liczbę sal – przypomniał jej George.

– Wiem – westchnęła. – Po prostu chciałabym pomóc tym ludziom, najlepiej wszystkim, którzy się do nas zgłosili. Tak swoją drogą, skończyliśmy na dziś?

– Tak. Ale jutro czeka nas kolejny długi dzień.

– Blake zwracał się do niej uprzejmie, aczkolwiek z dystansem.

Niespodziewanie do gabinetu zajrzał mały chłopiec.

– Pani doktor? – zapytał, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

Jego buzia wydała jej się znajoma, jednak chwilę trwało, nim w pamięci otworzyła się właściwa szufladka.

– Henri? To ty?

– Doktor Moriah! Pani mnie pamięta? – rozpromienił się.

– Oczywiście! Byłeś moim ulubionym pacjentem.

– Ponad jego głową wyjrzała na pusty korytarz. – Gdzie twoja mama? Jest tu z tobą?

Chłopiec pokręcił głową. Jego uśmiech przygasł.

– Powiedz nam, co u ciebie słychać? – Moriah nie była pewna, czy Blake pamięta małego pacjenta, u którego rok wcześniej likwidował przykurcz poparzonej prawej stopy.

– Pokażesz nam, jak wygląda twoja noga? – Pytanie Blake rozwiąło jej wątpliwości.

Okazało się, że chłopiec wprawdzie nie utyka, ale nie odzyskał jeszcze pełnej sprawności ruchowej.

– Doskonale! – pochwaliła go Moriah. – Powiedz, co cię do nas sprowadza?

– Pamięta pani, co pani powiedziała rok temu? Że następnym razem zoperujecie moją rękę – przypomniał i patrząc im z powagą w oczy, uniósł do góry lewą dłoń. – Widzi pani? – Pokazał, że nie może rozprostować trzech poparzonych palców.

– Tak. I pamiętam o naszej umowie. Dołączymy Henriego do listy pacjentów, prawda? – zapytała, patrząc wymownie na Blake’a.

Ten zaś wziął chłopca za rękę i zaczął delikatnie poruszać przykurczonymi palcami.

– Wątpię, żeby dało się przywrócić normalną funkcję ruchową – stwierdził po chwili.

– Proszę... Bardzo proszę... – Chłopiec patrzył na nich błagalnie wielkimi brązowymi oczami.

– Blake, obiecaliśmy! – wtrąciła cicho. – Przecież wiesz, że zabieg będzie stosunkowo prosty, więc nie zabierze nam wiele czasu. Jeśli trzeba, chętnie zostanę dłużej albo przyjdę wcześniej.

Blake spojrział pytająco na George’a, ten zaś rozłożył bezradnie ręce.

– Zgoda. Jakoś go upchniemy – zdecydował szybko Blake.

– Dziękuję! Bardzo dziękuję! – Henri uśmiechnął się do Moriah. – Nie będę już przeszkadzał. Do widzenia!

– Cześć, smyku! – Moriah zdążyła pogłaskać go po głowie i już go nie było.

Henri bardzo przypominał jej Mitcha, najstarszego z jej siostrzeńców. Był tak samo jak on ruchliwy. Żywe srebro. Uśmiechnęła się w myślach, wspominając, ile trudu kosztowało ich utrzymanie Henriego w łóżku.

Nagła tęsknota ścisnęła ją boleśnie za serce. Tak bardzo pragnęła mieć własne dzieci...

Kiedyś myślała, że będzie je miała z Ryanem, ale ich związek rozpadł się kilka miesięcy przed jego śmiercią. To on zerwał zaręczyny.

– Wybacz, ale nie potrafię zrezygnować ze swobody. Chyba nie dorosłem jeszcze do małżeństwa – oznajmił z rozbrajającą szczerością.

Wkrótce po tym, jak się rozstali, znów się zakochała. Tym razem w Blake’u.

Blake przyjaźnił się z Ryanem i był nieodłącznym kompanem jego wesołych męskich eskapad. Gdy przed rokiem niespodziewanie spadła na nich wiadomość o śmierci jej byłego narzeczonego, Blake zachował się jak prawdziwy przyjaciel: pocieszał ją tak skutecznie, że nim się zorientowała, wylądowała z nim w łóżku. Za to już rankiem pokazał swoje prawdziwe oblicze i bez skrępowań nawiązał romans z inną. Moriah bardzo to przeżyła. Wprawdzie nie była na tyle naiwna, by łudzić się, że Blake się dla niej zmieni, ale nie przypuszczała, że będzie zdolny do takiego świństwa.

Westchnęła ciężko. Nie ma szczęścia do mężczyzn; zawsze fatalnie lokuje swe uczucia.

ROZDZIAŁ DRUGI

Blake po raz kolejny zerknął na Moriah, i po raz kolejny aż go ścisnęło z żalu. Prawie zapomniał, jaka jest piękna. Nie spodziewał się, że jej uroda wywrze na nim tak silne wrażenie. A jednak! Spojrzał na jej gęste czarne włosy i mimo woli zaczął sobie wyobrazać, jak uwalnia je z ciasnego kucyka. Wizja była tak sugestywna, że aż go zaświerbiły palce. Potem zaczął przyglądać się jej brązowym oczom i pełnym ustom. Gotów był przysiąc, że ich zmysłowy rysunek niesie obietnicę rozkoszy. Nie miał cienia wątpliwości, że Moriah nie jest odpowiednią kobietą dla niego. Tylko co z tego, skoro okazało się, że jego rozbudzone zmysły za nic mają glos rozsądku.

Nie miał pojęcia, że Moriah ponownie wybiera się do Peru. Podczas długiego lotu z nudów zaczął flirtować z jakąś pielęgniarzką, której imienia nawet nie pamiętał. Jak na ironię następnego dnia wpadł na korytarzu na Moriah. I od razu poczuł, że gotów jest zgrzeszyć jeszcze raz.

Nie pojmował, skąd wzięła się ta gwałtowna fascynacja. Był jednak wobec siebie szczery i nawet nie próbował udawać, że Moriah jest mu obojętna. Pragnął jej jak żadnej innej. Ta świadomość konsternowała go. I przerażała.

Znał ją od dawna, jednak dopiero kiedy rozstała się z Ryanem, jakiś czort zaczął szeptać mu do ucha, by wykorzystał okazję. Długo była sama i on o tym wiedział, ale zbliżył się do niej dopiero podczas ubiegłorocznej misji. Ostatnią noc w Peru spędzili razem. Kochali się i było mu z nią cudownie, ale rano zrejterował. Nie było dla niego żadną tajemnicą, że Moriah marzy o założeniu rodziny; uznał, że nie jest w stanie spełnić jej pragnień.

Więc postąpił z nią tak samo okrutnie jak wcześniej Ryan. Na zimno wykalkulował, że lepiej brutalnie zakończyć pączkujący romans, niż ślepo brnąć w związek bez przyszłości. O tej nie mogło być mowy, gdyż ich oczekiwania wobec życia zdecydowanie się rozmięły. Moriah szukała stabilizacji, chciała mieć rodzinę, on wręcz przeciwnie. Zawsze uważał, że dzieci to ogromna odpowiedzialność, którą za nic nie chciał się obarczać.

Ponieważ drastycznie różnili się w tej kwestii, wątpił, by kiedykolwiek znaleźli kompromis. Dlatego zdawał sobie sprawę, że tym razem musi wykazać się większą siłą charakteru. Nie wolno mu ponownie skrzywdzić Moriah, więc dla ich wspólnego dobra musi trzymać się od niej z daleka.

Tymczasem nawet obecność George'a nie była przeszkodą dla jego wybujałej wyobraźni. W pewnym momencie przestraszył się, że nie wytrzyma i przy koledze rzuci się na Moriah i zacznie ją całować. Nie, to jednak nie ma prawa się zdarzyć. Dlatego będzie musiał jak najszybciej zniknąć z jej orbity. Zupełnie jak rakieta wystrzelona na inną planetę. Do cholery, gdzie się podziewa ta rezolutna blondynka z samolotu? Ta cała Claire, czy jak jej tam? Dziewczyna nie ma pojęcia, jak bardzo by mu się teraz przydała.

– Późno już. Chcecie wrócić do hotelu, żeby coś zjeść? – zapytał George.

– Mhm... – mruknął Blake z roztargnieniem. Przez cały czas obserwował Moriah, ona z kolei tęsknie patrzyła na drzwi, w których jeszcze przed chwilą stał Henri.

– Moriah? Zjesz z nami? – zagadnął ją George.

– Słucham? – Zwróciła ku niemu nieobecne spojrzenie. – Nie, dziękuję. Przed wyjściem chcę jeszcze odwiedzić pacjentkę.

– Pacjentkę? – zdziwił się Blake. – To ktoś z listy?

– Nie. Dziś rano pomogłam kobiecie, która zaczęła rodzić w samochodzie. Chcę zobaczyć, jak się czuje. Urodziła prześliczną dziewczynkę. – Na wspomnienie dziecka Moriah pojaśniała z radości.

Blake nie czuł się zaskoczony, że Moriah tak żywo interesuje się losem noworodka i jego mamy. Oto kolejny dowód, że kompletnie do siebie nie pasujemy, stwierdził pośpiesznie.

George, który wciąż czekał na odpowiedź w sprawie kolacji, spojrzał na niego pytająco, ale on pokręcił głową.

– Nie czekaj na mnie. Mam jeszcze sporo roboty – odparł wymijająco. Tak naprawdę miał spędzić wieczór z blondynką z samolotu. Powinien więc być w siódmym niebie.

Ale nie był. Nie potrafił wykrzesać z siebie bodaj odrobiny entuzjazmu dla tej randki.

George i Moriah wyszli razem, on zaś został, ale musiał zmobilizować całą siłę woli, żeby za nimi nie pójść.

Gdy został sam, usiadł ciężko na krześle i bezradnie złapał się za głowę. Gardził sobą. To podle uczucie niczym żrący kwas kropla po kropli sączyło się w jego duszę.

Już raz skrzywdził Moriah. Nie zapomniała mu tego. Teraz na pewno życzyłaby sobie, by się przed nią płaszczył. Potarł dłońmi twarz, jakby chciał wymazać z pamięci obraz jej cierpienia. Chwilę siedział bez ruchu, a potem wstał i z ociąganiem poszedł do hotelu, gdzie w lobby czekała już na niego nowa znajoma: Claire, czy jak jej tam.

Blake czuł, że zupełnie nie jest w nastroju na miłosne podboje, mimo to zmusił się do uśmiechu. Obiecał sobie jednak, że w kontaktach z uroczą blondynką nie wykroczy poza flirt. Całe szczęście jego towarzyszka doskonale знаła reguły gry. On zresztą też. Ostatecznie nie pierwszy raz w życiu miał czarować jedną kobietę, myśląc przy tym o innej. Do licha. Musiał przyznać, że po mistrzowsku opanował grę pozorów.

Kilka godzin później postanowił się przejść. Łudził się, że na świeżym powietrzu uwolni się od duszącego zapachu perfum Claire, który wsiąkł mu w skórę. Chryste, co za gadatliwa baba! Przez cały wieczór trajkotała jak najęta. A on i tak jej nie słuchał.

– Wstąp do mnie na drinka, jeśli masz ochotę... – zaproponowała zalotnie pod koniec kolacji.

Nie skorzystał z zaproszenia. Wykręcił się, mówiąc, że jest umówiony z jednym z peruwiańskich lekarzy.

– Musimy ustalić harmonogram zabiegów. Sama rozumiesz, logistyka: kto, z kim, kogo i na którym bloku. Muszę lecieć.

Szedł więc przed siebie i oddychał miarowo. Miał wrażenie, że z każdym oddechem staje się czystszy. Po drodze myślał o tym, że czekają go najdłuższe trzy tygodnie w życiu. Miał smutną pewność, że z Moriah w zasięgu wzroku nie wmówi sobie, iż pociągają go inne kobiety. Będzie liczyła się tylko ona. Jej bliskość. Zapach. Dotyk.

Gdzieś przed nim rozległ się odgłos kroków. Ktoś idzie w tę samą stronę. Blake wyteżył wzrok, ciekaw, kto oprócz niego napawa się pięknem i błogim spokojem nocy. Przyspieszył i minawszy zakręt, ujrzał ciemnowłosą kobietę. Rozpoznał ją natychmiast. Zacisnął zęby, tłumiąc żalospny jęk. Moriah.

Pięknie. Ze wszystkich kobiet na świecie musi ciągle spotykać właśnie tę, o której nawet nie ma prawa marzyć. Powinien odwrócić się na pięcie i natychmiast pójść w drugą stronę, nie czekając, aż ona go zobaczy i znów zacznie się wymiana zdawkowych uprzejmości. Mógł oszczędzić sobie udawania, że nie czuje elektryzującego napięcia, które pojawia się za każdym razem, gdy Moriah jest blisko. Napięcia, które udziela się nie tylko jemu.

Nic z tego. Zdradzieckie nogi poniosły go prosto do niej. I to w chwili, gdy odwróciła się, by sprawdzić, kto za nią idzie.

– Cześć, Blake. – Nie zamierzała udawać, że go nie poznała.

– Cześć.

Cisza, która między nimi zapadła, szybko stała się krępująca. Czy już nigdy nie będziemy rozmawiali jak ludzie? – pomyślał zirytowany. Brakowało mu swobodnej atmosfery z wczesnych lat ich znajomości. Od początku dobrze się rozumieli. Tak było aż do dnia, gdy przez swoją głupotę wszystko zepsuł, pozwalając, by żądza wzięła górę nad rozsądkiem. Musiał przyznać, że przez rok niewiele się nauczył, bo nawet teraz, patrząc na nią, myślał o tym, o czym myśleć nie powinien.

Sycił oczy jej urodą. W świetle księżycy wyglądała zjawiskowo. W ogóle się nie zmieniła. I nadal nie nosi obrączki, stwierdził z ulgą. Nagle poczuł niesmak, gdyż dotarło do niego, że zachowuje się jak przysłowiowy pies ogrodnika. Nie ma prawa cieszyć się, że nie wyszła za mąż. Zasługiwała na to, by znaleźć mężczyznę, który spełni jej marzenie o szczęśliwej rodzinie i spokojnym życiu. Czyli o tym wszystkim, co jego zupełnie nie pociąga.

Wraz z łagodnym powiewem wiatru przyfrunął do niego świeży, cytrusowy zapach jej perfum, budząc wciąż żywe wspomnienia podobnej nocy sprzed roku, kiedy to braterski gest pocieszenia niespodziewanie zmienił się w coś zgoła innego. Wystarczyło, że o tym pomyślał, i krew zaczęła w nim żywiej krążyć. Bez trudu potrafił odtworzyć w pamięci, co czuł, gdy Moriah tuliła się do niego, gdy go całowała...

Zacisnął pięści. Co się z nim dzieje? Czy to jakaś piekielna cząsteczka DNA jest odpowiedzialna za to, że stracił głowę dla kobiety, która ma zupełnie inną hierarchię wartości?

Cholera. Naprawdę musi trzymać się od niej z daleka. Im dalej, tym lepiej.

– Cóż, Blake, miło się z tobą gawędzi – zadrwiła – ale miałam wyjątkowo ciężki dzień. Dobranoc.

– Musimy porozmawiać – wyrwało mu się.

Zatrzymała się, ale jej spojrzenie pozostało nieufne.

– Doprawdy? Niby o czym?

Powiedz jej, nakazywało sumienie. Przyznaj się, dlaczego to zrobiłeś. Niech się wreszcie dowie, dlaczego wolałeś inną.

– O naszym harmonogramie zabiegów. – Śmierzący tchórz! Nie zamierzał stosować

wobec siebie taryfy ulgowej. – Zaczynamy jutro w trzech salach. Myślę, że będzie lepiej, jeśli dołączysz do zespołu innego chirurga.

– W porządku – zgodziła się natychmiast. Poczul się dotknięty, ale nie pozostało mu nic innego, jak tylko zagryźć zęby. – Trzymaj się!

– Dobranoc. – Nie szczędząc sobie dosadnych epitetów, obserwował, jak Moriah idzie w stronę hotelu. W pierwszym odruchu poszedł za nią, ale w porę opamiętał się i zawrócił. Czy już do końca zgłupiał?

Był tak zły na siebie, że miał ochotę tłuc głową w mur pobliskiej kamienicy. Przecież Moriah tysiące razy zwierzała mu się, że pragnie mieć z Ryanem gromadkę dzieci. Nic dziwnego, w końcu sama pochodziła z dużej rodziny; miała siedmioro rodzeństwa.

Tymczasem on potrzebował samotności i własnej przestrzeni. Nie miał nic przeciwko dzieciom – niech mają je ci, którzy chcą je mieć. Sam natomiast zupełnie nie widział się w roli ojca.

Wysoko cenił swój niczym niezmałowany spokój. Ciche poranki, w czasie których obserwował słońce wznoszące się ponad horyzont. Od zawsze wiedział, że praca jest dla niego najważniejsza. Nie chciał być zmuszony do wybierania między karierą a rodziną. Po co miały dręczyć go wyrzuty sumienia, że poświęcając się pracy, zaniedbuje najbliższych? Nigdy nie żałował, że zdecydował się na samotność.

Wobec tego czemu jego ciało każe mu uganiać się za kobietą, która ma zupełnie inny pomysł na życie?

Patrzył przez specjalne powiększające okulary na fragment twarzy trzyletniej dziewczynki. Właśnie usunął zniszczoną tkankę i za chwilę miał przykryć to miejsce płatem skóry pobranej z innego miejsca. Była to najtrudniejsza część zabiegu, więc pracował w skupieniu. Jednak ani na moment nie zapominał, że Moriah jest blisko.

Kiedy George wyznaczył ją do jego zespołu, uznał, że nie ma sensu robić scen. Był pewien, że w czasie skomplikowanej operacji nie będzie miał czasu o niej myśleć.

I tu spotkała go przykra niespodzianka.

Od lat ją podziwiał. Szczególnie lubił jej śmiech, bo wtedy dosłownie jaśniała wewnętrznym blaskiem. Poza tym uważał ją za doskonałego anestezjologa. Jednak dopiero rok temu odkrył inną stronę jej natury; podczas pamiętnej nocy obserwował zdumiewającą przemianę zasadniczej pani doktor w kobietę pełną ognistego temperamentu.

– Blake, mam problem. – Słyszac jej głos, natychmiast uniósł głowę.

– Co się dzieje? – Spojrzał na nią pytająco.

– Spada poziom tlenu we krwi. – W oczach Moriah widać było niepokój. – W dodatku słyszę jakieś szmery w płucach. Podejrzewam astmę.

– Mamy to w wywiadzie? – Blake wrócił do zakładania szwów. Jeszcze tylko kilka i przeszczep będzie gotowy. Modlił się, by mała pacjentka wytrzymała do końca.

– Jej matka nie wspomniała słowem o astmie. A podejrzewałam, że Anita może ją mieć, bo nie podobało mi się, jak oddycha.

– Nie rób sobie wyrzutów – pocieszył ją. – Myślę, że nawet gdybyśmy o tym wiedzieli, i

tak podjęlibyśmy ryzyko. – Blake założył kolejny szew i z ulgą uniósł głowę. – W porządku. Muszę jeszcze opatrzyć miejsce, z którego pobrałem skórę, i możemy kończyć.

– Podam jej dawkę sterydu. Oby zadziałał. – Moriah westchnęła ciężko.

– Dobrze. Daj mi znać, jeśli parametry się zmieniają.

– Jasne – odparła krótko. Blake miał do niej pełne zaufanie. Nie bez powodu uważał ją za świetnego fachowca. Między innymi dlatego nie prosił George'a, żeby przydzielił mu innego anestezjologa.

– Puls sto trzydzieści, ciśnienie dziewięćdziesiąt na czterdzieści, utlenienie krwi sporo poniżej normy. Jeśli dalej spadnie, będziemy musieli skończyć zabieg.

Blake miał nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale musiał być przygotowany na najgorsze. Póki co z niezmaconym spokojem precyzyjnie zakładał maleńkie szwy.

– Utlenienie krwi wciąż spada – informowała go coraz bardziej niespokojna Moriah. – Mam jej podać jeszcze jedną dawkę sterydu?

– Tak. – Chciał jakoś podnieść ją na duchu, ale nie było na to czasu. Aby zyskać parę cennych minut, poprosił instrumentariuszkę, by zamiast niego opatrzyła miejsce, z którego pobrał skórę do przeszczepu. – Skończyłem – oświadczył po chwili i jeszcze raz uważnie obejrzał swoje dzieło. Wcale nie po to, by podziwiać swój kunszt, ale by mieć pewność, że niczego nie przeoczył.

– Czy na bloku pooperacyjnym są gotowi, żeby ją przyjąć? – upewniła się Moriah.

– Tak.

– Wobec tego usuwam intubację. Mam wrażenie, że przez tę rurkę ciężiej jej oddychać – stwierdziła Moriah.

Po chwili założyła dziewczynce maskę tlenową, a Blake pomógł przełożyć ją na łóżko służące do transportu i przewieźć na blok pooperacyjny. Zauważył, że Moriah ani na moment nie spuszcza oka z twarzy dziecka.

Greta, jedna z amerykańskich pielęgniarek, przejęła od nich dziewczynkę i zaczęła osłuchiwać ją stetoskopem. Nagle twarz małej Anity zsiniała.

– Doktor Howe! – zawołała przestraszona Greta. – Mała ma skurcz krtani. Nie może oddychać!

ROZDZIAŁ TRZECI

– Uważaj na szwy! Jeśli przeszczep się nie przyjmie, będę musiał operować ją jeszcze raz – ostrzegł Blake, widząc, że Moriah usiłuje zajrzeć do opuchniętego gardła dziewczynki.

Nie miała zamiaru rujnować jego ciężkiej pracy – zwłaszcza że Anita nie zniosłaby kolejnej operacji. Jednak świeży przeszczep najmniej ją w tej chwili obchodził. Głównym zadaniem anestezjologa jest dopilnowanie, by nieprzytomny pacjent nie przestał oddychać. Dlatego Moriah myślała tylko o tym, że jeśli natychmiast nie udroźni dróg oddechowych Anity, dziewczynka umrze.

– Nie rób mi tego – mruzczała, próbując ponownie ją zaintubować. Niestety, skurcz krtani był tak silny, że mimo wysiłków nie była w stanie wsunąć rurki do gardła. Cisnęła więc bezużyteczny przyrząd i ponownie nałożyła Anicie maskę tlenową. Na twarz dziewczynki wróciło nieco koloru, ale Moriah wiedziała, że niebezpieczeństwo nie zostało zażegnane.

– Chcesz, żebym ja spróbował? – zapytał Blake.

– Nie. Szkoda czasu – odparła bez namysłu. – Muszę jej zrobić tracheotomię. – Starła się nie tracić zimnej krwi, ale była bardzo zdenerwowana. Tracheotomia nie jest skomplikowanym zabiegiem, ale Moriah nigdy nie wykonywała go tak małemu dziecku.

– Greto, daj mi skalpel, szczypce i rurkę. Tylko cienką, najlepiej trójkę.

– Proszę. – Pielęgniarka natychmiast podała potrzebne rzeczy.

– Przypnij Anitę do łóżka i pilnuj, żeby się nie ruszała – instruowała Moriah, dezynfekując szyję dziewczynki.

Blake odsunął się, tak by ona i pielęgniarka miały swobodny dostęp do łóżka. Doceniła ten gest. Dobrze wiedziała, że jak każdy chirurg Blake lubi mieć wszystko pod kontrolą i niechętnie ustępuje pola innym.

Kiedy Anita była już gotowa do zabiegu, Moriah wciągnęła powietrze i pewnym ruchem nacięła jej gardło, by rozszerzywszy otwór szczypcami, wsunąć do tchawicy rurkę umożliwiającą oddychanie. Po chwili twarz dziewczynki zaróżowiła się. Dopiero wtedy Moriah odetchnęła.

– Niebezpieczeństwo zażegnane – mruknęła Greta.

– Dzięki Bogu. Powiem szczerze, że zaczynałam się denerwować.

– Ja też – przyznała Moriah. Teraz, gdy kryzys minął, zaczęła zastanawiać się, czy nie popełniła jakiegoś błędu. Może zbyt szybko usunęła intubację?

– Nie obwiniaj się. Zrobiłaś wszystko jak należy.

– Łagodny głos Blake'a wyrwał ją z zamyślenia. Spojrzała na niego zaskoczona. Wiedziała, że jest dobrym obserwatorem, więc mogła się domyślić, że z wyrazu jej twarzy wyczytał, iż ogarnęły ją wątpliwości. – Przecież nie wiedziałas, że mała ma astmę. Poza tym zawsze istnieje ryzyko, że pacjent dostanie skurczu krtani. To częsty skutek uboczny narkozy.

– Wiem. – W niebieskich oczach Blake'a dostrzegła pewność i spokój. Oczywiście ma rację: każdy pacjent może dostać skurczu krtani. Tylko co z tego, skoro wciąż miała przed oczami siną twarzyczkę małej Anity. Nieszczęście dosłownie wisiało na włosku.

Odsunęła na bok wątpliwości i wyprostowała plecy. W tej chwili nie miała czasu analizować swojej decyzji; następni pacjenci czekali na zabieg.

– Wracamy na blok operacyjny – powiedziała do Greta. – Miej tę małą na oku, dobrze?

– Oczywiście. – Pielęgniarka sięgnęła do kolorowej torby z pluszowymi maskotkami i wyjąwszy z niej sympatycznego psiaka kłapoucha, położyła go na poduszce Anity.

Moriah spojrzała na spokojną buzię dziewczynki i uśmiechnęła się ciepło. Ucieszyła się, że pierwszą rzeczą, którą mała zobaczy po przebudzeniu, będzie zabawka. W czasie poprzedniej misji okazało się, że dzieciaki wspaniale reagują na maskotki, które dostają po zabiegu. Traktowały je jak najcenniejszy skarb i przytulały się do nich, zapominając na chwilę o bólu.

– Zaczekaj! – Chciała minąć Blake'a, ale złapał ją za rękę. – Dobrze się czujesz? Może chcesz chwilę odpocząć? – zapytał, przyglądając jej się uważnie.

– Nie, szkoda czasu – odparła pewnym głosem, choć przed sekundą poczuła się tak, jakby przepłynął przez nią prąd. Dotyk jego dłoni sprawił, że natychmiast spłynęło z niej zmęczenie. Co on takiego w sobie ma? Żaden inny mężczyzna nie działał na nią w taki sposób.

Zezłościła się na siebie, że tak łatwo ulega emocjom.

– Nie chcę tracić ani chwili – oznajmiła stanowczo, odpychając jego rękę. – Mamy zbyt wielu pacjentów.

– Nie martw się, nikogo nie pominiemy – uspokoił ją. – Po pięciu minutach poczujesz się jak nowo narodzona.

Dała za wygraną i zgodziła się na chwilę przerwy, która, jak przypuszczała, była bardziej potrzebna jemu niż jej. W końcu to on stał przez całą operację, a ona siedziała obok Anity.

– Ach, jak bosko! – westchnął z ulgą, kładąc nogi na niskim stoliku w pokoju lekarzy.

– Domyślam się.

– Jak się miewa świeżo upieczona mama, której wczoraj pomogłaś?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Nie sądziła, że będzie o tym pamiętał, choć nie powinna się temu dziwić; Blake miał doskonałą pamięć do szczegółów. Była to jedna z cech, która czyniła z niego doskonałego chirurga.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, jak ona się czuje – przyznała. – Byłam u niej wczoraj, ale akurat karmiła, więc nie chciałam przeszkadzać. Zajrzę do niej dzisiaj, a teraz pójdę do Anity.

– Przecież wiesz, że gdyby jej stan się pogorszył, Greta dałaby ci znać.

– Wiem. – Moriah po prostu szukała pretekstu, by wyjść z pokoju. Mając Blake'a na wyciągnięcie ręki, nie była w stanie się odprężyć. – Spotkamy się za parę minut na bloku.

– Dobrze. Moriah? – zawołał, zanim zdążyła wyjść.

– Tak?

– Cieszę się, że znów razem pracujemy.

Już miała powiedzieć, że ona też się cieszy, ale uznała, że nie ma sensu kłamać. Po co udawać, że jest jak dawniej. Nić porozumienia została zerwana. Szkoda, że tak się stało, pomyślała ze smutkiem. Jeszcze bardziej żał jej było bezpowrotnie utraconej bliskości i zażyłości, która kiedyś ich łączyła. W sypialni i poza nią.

– Rozumiem, co masz na myśli – odparła wymijająco. – Byłeś dziś świetny, operując Anitę. – Posłała mu błądy uśmiech i szybko wyszła.

Wizyta u Anity z konieczności była bardzo krótka, gdyż w sali operacyjnej czekał już kolejny pacjent. Moriah szybko przebrała się w świeży strój chirurgiczny i podeszła do stołu, na którym leżał nastoletni chłopiec, Pedro Rodriguez. Jak większość pacjentów, którym pomagali, nosił na ciele ślady poparzeń, zdarzających się w Peru wyjątkowo często. Ich przyczyną była nafta powszechnie stosowana w domowych kuchenkach.

– Dzień dobry, Pedro. Jak się czujesz?

– Dobrze, pani doktor.

– To doskonale. Zaraz cię znieczulę i całą operację smacznie prześpisz. A jak się obudzisz, będzie już po wszystkim – mówiła, podłączając mu kroplówkę.

Patrząc na płyn wolno spływający do żyły chłopca, myślała o tym, co przed chwilą powiedział Blake. Cieszył się, że razem pracują. Ona też była z tego zadowolona. Oczywiście jako lekarka, bo kwestie osobiste stanowiły odrębny problem. Uważała, że łatwiej pracować z kimś, kogo się zna, zwłaszcza gdy warunki pracy dalekie są od ideału. Czego najlepszym dowodem jest przykład małej Anity.

Blake był doskonałym chirurgiem. Jego obecność w sali operacyjnej dawała poczucie bezpieczeństwa. Wszyscy lubili z nim pracować, bo w przeciwieństwie do kolegów po fachu nigdy nie przybierał teatralnych póż.

Ciekawe, czy kiedykolwiek uda nam się odbudować przyjaźń, pomyślała. Szczerze mówiąc, wątpiła, by było to możliwe. Nie po tym, jak pozwolili sobie na chwilę zapomnienia i poznali, czym może być namiętność.

Uznała, że niepotrzebnie zaprzęta sobie głowę myślami, które tylko ją rozpraszają. Odsunęła je więc od siebie i skupiła całą uwagę na chłopcu, który właśnie zaczynał robić się senny.

– Śpij dobrze, *nihō* – powiedziała miękko, przygotowując przyrządy do intubacji.

Za plecami usłyszała głosy kolegów wchodzących do sali. Gdy po chwili dołączył do nich Blake, natychmiast wyczuła jego obecność. Nigdy nie był arogancki, ale i tak wszyscy wiedzieli, kto tu jest szefem. Przysłuchiwała się, jak pewnym głosem wydaje polecenia instrumentariuszkom i asystującemu chirurgowi, i cieszyła się, że tu jest. Zwłaszcza że praca była jedyną formą kontaktu, jaką mogła zaakceptować. Gdy to sobie uświadomiła, w jej sercu obudziła się nostalgia. W sali operacyjnej rozumieli się z Blakiem bez słów, tworzyli idealną parę.

Szkoda, że nie w życiu, pomyślała z goryczą, ale w jej głowie natychmiast zapaliła się czerwona lampka. Blake jest taki sam jak Ryan. Nie wolno jej zapominać, że jego pogoń za nowymi wrażeniami nigdy się nie skończy. Zawsze będzie szukał łatwych zdobyczy, nie bacząc na to, ile złamanych serc za sobą zostawi.

– Zaczynamy! – oznajmił. – Skalpel! – Moriah spojrzała na jego dłonie. Zbyt dobrze pamiętała ich pieszczoty, więc szybko podniosła wzrok i popatrzyła na jego skupioną twarz. Nie mogła dłużej się okłamywać. Musiała w końcu przyznać, że Blake nadal nie jest jej obojętny. Wprawdzie uczucia, które w niej budził, często były sprzeczne i niejednoznaczne,

ale nie mogła dłużej udawać, że nic do niego nie czuje.

Przyjechała tu z ambitnym planem, by raz na zawsze zapomnieć o swym fatalnym zauroczeniu sprzed roku. Jeśli nadal chce, by Blake Powers zniknął z jej życia i wspomnień, musi trzymać się od niego jak najdalej. Dystans musi być na tyle duży, by nie dosięgnął jej jego zwodniczy męski czar.

Z ulgą zdjęła rękawiczki i chirurgiczną maskę. Choć był to ostatni zabieg, jej dzień jeszcze się nie kończył.

– Wiesz, do której sali przenieśli Anitę? – zapytała Grete, zanim wyszła z bloku pooperacyjnego.

– Dwieście jeden, na drugim piętrze.

– Zajrzę do niej. – Przez cały dzień nie przestawała myśleć o małej Anicie. Nie chciała czekać do rana, by zobaczyć, jak dziewczynka czuje się po tracheotomii.

Na drugie piętro weszła po schodach; nie miała zaufania do wysłużonej windy.

– *Hola*, Anita – szepnęła, nie chcąc budzić matki, która drzemała na krześle obok łóżka. – Jak się czujesz?

Dziewczynka nie mogła się uśmiechnąć, gdyż uniemożliwiał to opatrunek na twarzy, więc tylko wyciągnęła rączkę, w której trzymała pieska przytulankę.

– Jaki śliczny kłapouszek! – Moriah z ulgą stwierdziła, że skóra dziewczynki jest ciepła i zaróżowiona, co wykluczało niedotlenienie. – Przyjdę do ciebie jutro i wyjmę tę rurkę, którą masz w gardle. Śpij spokojnie, malutka. Dobranoc.

Anita pokiwała główką. Moriah odwróciła się i wpadła prosto na Blake'a, który właśnie wszedł do sali.

– Nie za późno na odwiedzinę? – zapytał żartobliwie. – Chyba skończyłaś już pracę?

– Ty też – zrewanżowała się. – Przepraszam... – Próbowała go ominąć.

– Zaczekaj na mnie. Wrócimy razem do hotelu – zaproponował, po czym podszedł do Anity, by sprawdzić, jak wygląda przeszczep.

Moriah zaczęła przysłuchiwać się jego rozmowie z dziewczynką i jej matką. Dodawał im otuchy, zapewniając, że rokowania są dobre, więc powinny być optymistkami. Nagle uświadomiła sobie, że zwlekając z odejściem, sama pcha mu się w ręce. Nie ma powodu, by na niego czekała. Zwłaszcza że ma coś do załatwienia.

Przed powrotem do hotelu chciała jeszcze wstąpić do Rashy. Poszła więc na oddział noworodków i lekko zapukała do drzwi jej pokoju. I tu spotkała ją niespodzianka, okazało się bowiem, że szczęśliwa mama ma gościa. Obok jej łóżka stał przystojny młody mężczyzna i ostrożnie przytulał do siebie maleństwo.

– Nie przeszkadzam? – Moriah wsunęła głowę do środka. Nie chciała być nieproszonym gościem, ale wprost nie mogła się doczekać, żeby wreszcie zobaczyć córeczkę Rashy.

– Ależ skąd! Bardzo proszę, niech pani wejdzie. – Rasha dosłownie promieniała szczęściem. – To mój mąż, Manuel. Biedak nie może odżalować, że nie był przy porodzie. Bardzo się zdenerwował, kiedy usłyszał, że moja matka nie dowiozła mnie do szpitala, bo zabrakło jej benzyny.

– Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. – Moriah uśmiechnęła się do mężczyzny.

– Dzięki pani. Serdecznie dziękuję za wszystko, co zrobiła pani dla mojej żony. Wiem, że bardzo jej pani pomogła – powiedział, patrząc na nią z wdzięcznością.

– Moja rola była naprawdę niewielka. Pańska żona spisała się na medal. Była bardzo dzielna, więc to jej powinien pan dziękować. – Moriah z czułością spojrzała na noworodka. – Mają państwo przepiękną córeczkę. Jak ma na imię?

– Margarita – odparł Manuel. – I rzeczywiście jest śliczna. W życiu nie widziałem ładniejszego dziecka – dodał z dumą.

Moriah słyszała to zdanie wiele razy. Ściśle rzecz biorąc, za każdym razem, gdy na świat przychodził któryś z jej licznych kuzynów. Roześmiała się więc dobrodusznie i bez wahania przyznała Manuelowi rację.

– Pójdę już – powiedziała. – Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Może chce pani ją potrzymać? – zapytała Rasha. Jeszcze jak! Moriah gorliwie pokiwała głową i delikatnie wzięła od Manuela Margaritę.

Przyglądając się słodkiej buzi maleństwa, czuła, jak w jej sercu budzi się niepokój. Co będzie, jeśli nigdy nie spotka mężczyzny, dla którego rodzina będzie równie ważna jak dla niej? Historia z Blakiem nauczyła ją, że miłość i zdrowy rozsądek rzadko chodzą w parze. Malutkie usta Margarity wygięły się w podkówkę i zaczęły drżeć.

– Ciii, słoneczko... Już dobrze. – Moriah czym prędzej odsunęła od siebie swoje smutki. – Wracaj do mamy – szepnęła i z żalem oddała dziewczynkę Rashy.

– Nie będę państwu przeszkadzać. Zresztą na mnie już czas.

– Proszę mnie jutro odwiedzić – poprosiła Rasha.

– Pewnie niedługo wypiszą mnie do domu.

– Dobrze, postaram się do pani zajrzeć – obiecała Moriah i po cichu wysunęła się na korytarz, zostawiając młodych rodziców sam na sam z ich szczęściem.

Zazdrościła im. Właśnie takiego szczęścia pragnęła najbardziej. Przez chwilę naiwnie sądziła, że osiągnie je wspólnie z Blakiem.

Od początku wiedziała, że jej związek z Ryanem daleki jest od ideału. Nie kochała go, a w każdym razie nie było to uczucie, jakim kobieta powinna darzyć mężczyznę, za którego zamierza wyjść za mąż. Potem popełniła błąd, pozwalając sobie uwierzyć, że odnajdzie szczęście u boku Blake'a, którego przecież знаła na tyle dobrze, by wiedzieć, że niczym nie różni się od jej byłego narzeczonego. To nieprawda, że miłość potrafi pokonać wszelkie przeszkody. W przypadku Ryana i Blake'a niechęć do posiadania rodziny okazała się barierą nie do przebycia.

Kiedy Moriah wreszcie wyszła ze szpitala, był już wieczór. Blake pewnie jest w hotelu. Ciekawe dlaczego prosił, by na niego zaczekała. Przecież oboje zgadzali się, że najlepiej nie wchodzić sobie w drogę. Może Blake'owi wydaje się, że mimo wszystko nadal mogą być przyjaciółmi?

Cóż, jeśli tak, pora wylać mu na głowę kubek zimnej wody.

– Wszędzie cię szukam! – Jego głęboki głos wyrwał ją z zamyślenia. – Gdzie byłaś?

– U Rashy. Poznałam jej męża, obejrzałam ich śliczne maleństwo. Ale ciebie takie rzeczy

nie interesują – zauważyła z przekąsem.

– Dlaczego tak myślisz? – Sprawiał wrażenie zaskoczonego jej uwagą. – Robisz ze mnie straszego egocentryka.

Ma rację, pomyślała. Powinna się opanować. Nie ma prawa odsądzać go od czci i wiary tylko dlatego, że on nie chce się z nikim wiązać.

– Nie jesteś głodna? Może pójdziemy coś zjeść?

– Nie chce mi się jeść – skłamała, bo w rzeczywistości konała z głodu. Jednak kolacja z Blakiem zajmowała jedno z czołowych miejsc na jej prywatnej liście rzeczy surowo zabronionych. – W każdym razie miło, że pytasz – dodała, siląc się na uprzejmość.

– Może jednak... ? – Jego przymilny ton tylko ją rozdrażnił.

Miała ochotę krzyknąć: Spadaj! Zostaw mnie w spokoju!

– Przestań! – syknęła. Zatrzymała się na środku ulicy i twardo spojrzała mu prosto w oczy. – Odniosłam wrażenie, że wszystko sobie wyjaśniliśmy. Jesteś mądrym facetem, więc powinieneś rozumieć, że nie mam zamiaru bawić się w twoje gry. Dlaczego nie przygruchasz sobie jakiejś miłej dziewczyny, która będzie przeszczęśliwa, że zapraszasz ją na kolację?

W ciemności nie mogła niestety dostrzec wyrazu jego twarzy.

– Ja się z tobą w nic nie bawię, Moriah – odrzekł cicho. – Po prostu uważam, że powinniśmy porozmawiać.

– Nie ma o czym!

– Pracowaliśmy dziś razem i przez cały dzień jakoś się dogadywaliśmy. Nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy zjeść razem kolacji? Przynajmniej spróbujmy...

Przyjrzała mu się nieufnie. Najchętniej nie jadłaby wcale, zwłaszcza że wybawiłoby ją to od towarzystwa Blake'a, ale pusty żołądek coraz głośniejsze domagał się swoich praw. Z doświadczenia wiedziała, że jeśli pójdzie spać głodna, będzie miała ciężką noc.

– Nie ma sensu, żebyś przeze mnie rezygnowała z kolacji. – Blake odgadł, co jej chodzi po głowie. – Koniecznie musisz coś zjeść. Jeśli nie masz ochoty na moje towarzystwo, nie będę się narzucał.

– Uprzedzam, że nie jestem w nastroju na żadne damsko-męskie gry – zaznaczyła i minąwszy go, ruszyła w stronę hotelowej restauracji.

W środku było prawie pusto. Los nie był na tyle łaskawy, by zesłać jej wybawienie w postaci kogoś z kolegów z zespołu. Jak niepyszna usiadła więc naprzeciwko Blake'a i mimo woli zaczęła rozpamiętywać, kiedy ostatnio jedli razem. Zerknęła na niego spod rzęs i z nostalgią pomyślała o wszystkich dobrych wspomnieniach, które mu zawdzięcza. Nic dziwnego, że czasem zapominała, iż powinna go unikać. Nie pojmowała, skąd u niej to wewnętrzne rozdarcie między marzeniami o szczęśliwej rodzinie a mężczyzną, który tych marzeń spełnić nie mógł albo nie chciał.

Kiedy kelner przyjął zamówienie i odszedł od stolika, zapadła niezręczna cisza. Moriah gorączkowo szukała dyżurnego tematu do rozmowy. Praca? Pacjenci?

– Przepraszam cię – oznajmił znienacka Blake.

– Za co? – zapytała zbita z tropu.

– Za to, że cię skrzywdziłem.

– Doprawdy? – rzuciła oschle. – Chcesz powiedzieć, że nie przyszło ci do głowy, iż wdając się w romans z inną kobietą zaledwie parę godzin po tym, jak wstałeś z mojego łóżka, wyrządzisz mi krzywdę?

Skrzywił się, jakby samo wspomnienie tamtej historii sprawiało mu ból.

– Tamta noc w ogóle nie powinna się zdarzyć. Po prostu chciałem cię pocieszyć. Wiedziałem, że mocno przeżyłaś wiadomość o śmierci Ryana. Do cholery, przecież obydwójce po nim płakaliśmy. – Urwał i odchrząknął nerwowo. – Wówczas nocy oboje szukaliśmy pocieszenia. Być może posunąłem się za daleko, ale nie przypominam sobie, żebyś protestowała.

Moriah poczuła nieprzyjemny tępy ból, który szybko objął ją całą. Blake ma absolutną rację. Posunęli się za daleko. Jedyne problem w tym, że ona wcale nie szukała w jego ramionach pocieszenia. Kochała się z nim, bo naiwnie sądziła, że łączy ich miłość.

Ale to jest chyba jej osobisty problem...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Blake ze ściśniętym sercem obserwował, jak spokojna twarz Moriah zmienia się pod wpływem emocji. Widział malujące się na niej gorycz, ból i żal.

Zwłaszcza żal. On też żałował. Miał nadzieję, że spotkanie na neutralnym gruncie pomoże im uporać się z przeszłością. Szybko okazało się, że był w błędzie. Proponując wspólny posiłek, tylko pogorszył sytuację.

Niepotrzebnie szukał Moriah po całym szpitalu. Szkoda, że nie posłuchał głosu rozsądku, który podpowiadał, by zostawił ją w spokoju. Ich ponowne spotkanie w Peru było wynikiem zbiegu okoliczności, na które nie mieli wpływu. Skąd przyszło mu do głowy, że Moriah będzie chciała słuchać jego tłumaczeń?

– Tamta noc rzeczywiście nie powinna się zdarzyć. – Z rozmysłem powtórzyła jego słowa. Potem zamilkła, gdyż kelner przyniósł ich dania. Blake był niemal pewny, że Moriah za chwilę wstanie i wyjdzie z restauracji. Jednak została. – Popełniłam karygodny błąd w ocenie. Chciałabym jak najszybciej o tym zapomnieć.

– Nie żałuję tego, co się między nami wydarzyło, nawet jeśli ty masz na ten temat odmienne zdanie – powiedział z naciskiem. Zabolalo go, że nazwała ich miłosną noc „karygodnym błędem”. Dla niego to było niezapomniane przeżycie i właśnie takim chciał je zapamiętać. Nie jego wina, że mieli skrajnie odmienne pomysły na życie.

– Jeśli pozwolisz, wolałabym o tym nie rozmawiać – oznajmiła, odkładając widelec, choć prawie nie tknęła jedzenia.

Czuł, że powinien uszanować jej prośbę. A jednak nie mógł milczeć.

– To dlatego odeszłaś z centrum Trinity i zatrudniłaś się w prywatnej klinice?

Skinęła na kelnera.

– Proszę to dla mnie zapakować.

– Zostań! – poprosił, ale go zignorowała. Bezradnie patrzył, jak pakuje swoją porcję do torby, zapewniając zmartwionego kelnera, że jedzenie bardzo jej smakuje, ale jest zbyt zmęczona, by teraz jeść.

– Co się stało, to się nie odstanie, Blake – powiedziała, wstając. – Życie nie znosi próżni. Ja je sobie jakoś ułożyłam. Rozumiem, że lubisz uganiać się za kobietami, ale ja zupełnie nie widzę się w roli króliczka. Dobranoc.

Nie próbował jej zatrzymać. W milczeniu patrzył, jak wychodzi z restauracji. Nawet nie miała pojęcia, jak bardzo się myli, oceniając go w taki sposób.

Kiedyś rzeczywiście lubił tę zabawę. Jednak odkąd spędził z nią noc, zdobywanie kolejnych kobiet przestało mu sprawiać przyjemność. Początkowo sądził, że coraz to nowe miłosne podboje pomogą mu o niej zapomnieć. Życie pokazało, jak bardzo się mylił.

Czasem dopadał go lęk, że nigdy nie uwolni się od wspomnień o skrawku nieba, którego dotknął, kochając się z Moriah.

Przyszedł do szpitala bladym świtem i jak zwykle najpierw zajrzał do pacjentów. Najwięcej czasu spędził z Anitą i jej matką, którą dręczyły wyrzuty sumienia, że nie

uprzedziła lekarzy o chorobie córki. Pocieszał ją, jak umiał, ale nie był pewien, czy jego racjonalne argumenty trafiły jej do przekonania.

Miał za sobą udane operacje, więc powinien odczuwać satysfakcję, a tymczasem był w wyjątkowo podłym nastroju. Czuł się rozdrażniony i rozbity. Wszystko przez duszne erotyczne sny z Moriah w roli głównej, które męczyły go przez całą noc.

Wraz z nastaniem dnia przyszła złość na samego siebie. Nie lubił takich melancholijnych stanów, ponieważ uznawał je za niegodny mężczyzny przejaw słabości. A tej nie tolerował. Postanowił więc szybko wziąć się w garść.

Na miłość boską, przecież Moriah jest tylko kobietą. Jedną z wielu. Zgoda, znudziło mu się już skakanie z kwiatka na kwiatek. Może przyszedł czas, by znalazł sobie kogoś na stałe. Najlepiej kobietę, dla której najważniejsza jest kariera. I która nie marzy o gromadzie hałaśliwych bachorów.

Z głową pełną niespokojnych myśli wkroczył na blok operacyjny. Miał dziś operować czterdziestoletniego mężczyznę z rozległymi bliznami po oparzeniach, którego w ostatniej chwili dopisali do listy.

Kiedy wszedł do sali, Moriah przygotowywała pacjenta do narkozy.

– Jak się czuje Arturo? – zagadnął ją, sprawdzając zawartość i ustawienie tac z narzędziami.

– Twierdzi, że doskonale – odparła. – Pierwszy raz widzę kogoś, kto autentycznie cieszy się, że za chwilę pójdzie pod nóż. – W jej oczach, widocznych ponad brzegiem chirurgicznej maski, pojawił się uśmiech.

– Arturo był tak ożywiony, że długo nie mogłam go uspokoić. Już się bałam, że będę musiała wstrzyknąć mu podwójną dawkę leku.

– Wobec tego do dzieła. – Blake z wprawą włożył sterylne rękawiczki. – Daj znać, jak będziesz gotowa.

– Już. Możesz zaczynać.

Mikrochirurgiczny zabieg, który wymagał niezwyklej precyzji, wkrótce całkowicie go pochłonął. Był tak skupiony, że do jego świadomości przebijał się jedynie głos Moriah, która mniej więcej co godzinę podawała mu parametry życiowe pacjenta. Co jakiś czas unosił głowę, by odciążyć bolący kark. Mniej więcej w połowie zabiegu, gdy pierwszy przeszczep był już założony, postanowił zrobić krótką przerwę.

– Blake? Masz teraz chwilę? Chciałbym, żebyś na coś spojrział. – Do ich sali zajrzał George.

– O co chodzi?

– Jeden z tutejszych lekarzy musiał zrobić nagłe cesarskie cięcie. Okazało się, że dziecko ma przepuklinę przeponową i trzeba je natychmiast operować. Zajął się tym jeden z naszych chirurgów, ale problem polega na tym, że nie możemy zaszyć temu dzieciaczkowi brzucha, bo nie mamy gorteksowej siatki do osłonięcia wnętrza. Chodź rzucić na to okiem – poprosił George. – Może znajdziesz jakieś rozwiązanie.

– Dobrze, właśnie miałem chwilę odpocząć. Przyślij Terrance'a, żeby zastąpił Moriah – powiedział Blake, spoglądając w jej stronę.

– Nie potrzebuję przerwy. Nie czuję się zmęczona.

– Nawet nie próbuj się ze mną spierać – ostrzegł.

– Po pierwsze przed nami jeszcze mnóstwo pracy, a po drugie chcę, żebyś obejrzała tego noworodka. Co dwie głowy, to nie jedna – rzucił sentencjonalnie.

Moriah niechętnie przekazała koledze opiekę nad Arturem i razem z Blakiem i George'em opuściła salę. Przed wejściem na sąsiedni blok operacyjny zmienili stroje i parę minut później podeszli do stołu, przy którym stali zafrasowani koledzy z drugiego zespołu.

– Widzicie? Próbowałem zastosować zwykłą siatkę, ale jest za słaba. Nie mam pojęcia, co z tym zrobić – frustrował się chirurg, który przeprowadzał zabieg.

Blake zmarszczył czoło, próbując wynaleźć jakieś rozwiązanie. Siatka z gorteksu rzeczywiście byłaby najlepsza, bo ten materiał przypominał cieniutką gumę. Muszą użyć czegoś, co byłoby na tyle mocne i elastyczne, by skutecznie osłonić wnętrzości, nie powodując ucisku.

– Słuchajcie, a może weźmiemy foliowy woreczek po płynie do kroplówki? – podrzuciła Moriah.

Oczywiście! Dlaczego sam na to nie wpadł? Wnętrze woreczka jest sterylne, a plastikowa folia, z którego jest zrobiony, na tyle mocna, że będzie skutecznym zabezpieczeniem.

Jedna z pielęgniarek pobiegła na blok pooperacyjny i przyniosła pusty woreczek. Blake dokładnie obejrzał brzuch noworodka, po czym odciął z folii kwadrat odpowiedniej wielkości. Podał go chirurgowi, który osłonił nim otwór w jamie brzusznej.

– Miałaś genialny pomysł. Serdeczne dzięki. – Chirurg nie krył ulgi.

– Nie ma sprawy – odparła Moriah skromnie. Blake'a rozpierała duma. Spojrzał na nią z uznaniem i uśmiechnął się szeroko.

– Zjedzmy coś, zanim wrócimy do sali – zaproponował.

– Niezła myśl.

Żeby nie tracić czasu, nie zeszli do szpitalnej kafeterii, tylko zjedli parę krakersów w pokoju lekarzy.

– Wyobrażasz sobie coś takiego w Stanach? Foliowy woreczek zamiast gorteksu? – roześmiała się. – Założę się, że wytoczyliby nam za to proces.

– Z pewnością. Powiem ci, że bardzo odpowiada mi praca w Peru. Tu przynajmniej człowiek nie jest skrepowany tysiącem bezsensownych przepisów.

– Moriah? – W drzwiach stanęła Greta. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale jest do ciebie telefon ze Stanów.

– Kto dzwoni? – zdziwiła się.

– Twój brat, John.

– Stało się coś? – zapytał niespokojnie Blake, gdy Moriah w pośpiechu wyszła z pokoju.

– Nie mam pojęcia. Moim zdaniem nie był zdenerwowany. – Greta wzruszyła ramionami i wróciła do swoich zajęć.

Blake poszedł umyć się przed zabiegiem. Szorując ręce nad umywalką, myślał o rodzinie Moriah. W ciągu lat parokrotnie miał wątpliwą przyjemność spotkać wszystkich Howe'ów naraz. Natychmiast rzucało się w oczy, że są ze sobą bardzo zżyci. W czasie tych spotkań on i

Ryan stali zwykle z boku i niczym widzowie w teatrze przysłuchiwali się, jak Moriah i jej rodzeństwo prawią sobie złośliwości. Jako jedynak wychowywany najpierw przez rodziców będących w wiecznej podróży, a potem przez ciotkę, do której oddali go na bliżej nieokreślone „trochę”, nie potrafił odnaleźć się w dużej, hałaśliwej rodzinie. Nie czuł się pokrzywdzony, że nie miał normalnego dzieciństwa. Patrząc na nie z perspektywy człowieka dorosłego, oceniał tamten czas jako pozbawiony większego znaczenia. Nie żywił urazy do rodziców, którzy zresztą od dawna nie żyli. Zginęli w wypadku awionetki podczas jednej z misji.

Moriah wciąż miała oboje rodziców. Wprawdzie nie najmłodszych, ale sprawnych i w dobrej formie. Oby nie przydarzyło im się nic złego, pomyślał, kończąc myć ręce.

– Johnny, odciągnąłeś mnie od stłu operacyjnego, żeby mi powiedzieć, że się żenisz? – roześmiała się zdumiona. – Twoje szczęście, że akurat miałam przerwę. Poza tym ta rozmowa będzie cię kosztowała fortunę.

– Nic się nie martw, siostrzyczko. Mam zamiar upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Rodzice bardzo się martwią, że nie dzwonisz.

– Ojej, przeproś ich i powiedz, że u mnie wszystko w porządku. Nie dzwoniłam, bo nie miałam czasu. Mamy tu mnóstwo pracy – tłumaczyła się, ogarnięta poczuciem winy.

– W porządku. Uważaj na siebie i nie pracuj za dużo.

– Moje gratulacje, John. Powiedz Elizabeth, że bardzo się cieszę, że wejdzie do naszej rodziny. Pozdrów ode mnie ją i całą resztę. Trzymaj się, braciszku! – Z uśmiechem odłożyła słuchawkę.

Johnny, jej młodszy brat, się żeni. Kto by pomyślał? Jeszcze niedawno zmieniał dziewczyny jak rękawiczki. Tak jak Ryan. I Blake.

Cieszyła się, że wreszcie się ustatkował. A jednak gdzieś w głębi serca czaił się smutek. Wiadomość o ślubie Jonny’ego uzmysłowiła jej, jak bardzo jest samotna. Obiecywała sobie, że zapomni o Blake’u. Na razie skończyło się na obietnicach.

Spokojnie, czas jest najlepszym lekarzem, pocieszała się, próbując wykrzesać z siebie odrobinę wiary, że prędzej czy później uda jej się wykreślić Blake’a ze swojego życia. Na razie postanowiła nie dawać się zwątpieniu i wróciła do sali operacyjnej.

– Wszystko w porządku? – upewnił się Blake, gdy zajęła swoje miejsce.

– Tak. Wszystko super! – odparła ze sztucznym ożywieniem, ale była niemal pewna, że on tego nie kupił.

Popatrzył na nią przeciągle, ale nic nie powiedział. Po chwili podjął przerwana pracę, ona zaś sięgnęła po notatki, które podczas jej nieobecności sporządził Terrance. W pewnym momencie złapała się na tym, że zamiast w zapiski kolegi, wpatruje się w Blake’a.

Podziwiała go za to, że pod koniec wielogodzinnej wyczerpującej operacji jest tak samo opanowany i komunikatywny, jak na początku zabiegu. Może gdyby był gburowatym arogansem, jak niektórzy z jego kolegów po fachu, byłoby jej łatwiej podsycać w sobie gniew.

Kiedy skończyli operować Artura, zrobili sobie jeszcze jedną krótką przerwę, po czym zajęli się kolejnym przypadkiem. Tym razem na ich stół trafiła ośmioletnia Louisa, która w

wyniku poparzeń miała przykurcz obu nóg i od dwóch lat w ogóle nie chodziła.

– Ciśnienie krwi stabilne, puls też bez zmian – recytowała co jakiś czas, wiedząc, że Blake chce być na bieżąco informowany o stanie pacjenta.

Podczas ubiegłorocznej misji opowiedział jej o nieszczęśliwym zdarzeniu, które miało miejsce, gdy był stażystą. W trakcie operacji, którą przeprowadzał, stan pacjenta zaczął się pogarszać, ale anestezjolog w ogóle mu o tym nie powiedział, tylko na własną rękę zwiększał dawki leków. W efekcie pod koniec operacji nagle ustała akcja serca. Mimo ponadgodzinnej reanimacji pacjenta nie dało się uratować. Blake bardzo przeżył tę niepotrzebną śmierć i przysiągł sobie, że nigdy więcej nie dopuści do takiej sytuacji.

Moriah szanowała go za to, że nie traktuje pacjentów jak kolejnych liczb w statystyce; liczb, które muszą się zgadzać, tak by odsetek zgonów nie wykraczał poza z góry ustalony poziom. Dla niego byli ludźmi, których życie, w całym tego słowa znaczeniu, spoczywało w jego rękach. Po skończonym zabiegu nie przestawał interesować się ich losem i zawsze znajdował chwilę, by do nich zajrzeć i zapytać, jak się czują.

Do cholery, po co wystawiasz mu te laurki, zdenerwowała się w pewnym momencie. Przecież dla własnego dobra powinna rozpamiętywać to, o co ma do niego żal. Że jest niestałym w uczuciach donżuanem. Egoistą, który najlepiej czuje się we własnym towarzystwie. Że zostawił ją dla innej. Odszedł bez słowa wyjaśnienia, jakby noc, którą razem spędzili, nie miała dla niego żadnego znaczenia.

Ryan wspominał kiedyś, że Blake miał trudne dzieciństwo. Niestety, nie powiedział na ten temat nic więcej. Tak naprawdę niewiele o nim wiedziała. Znała go jako świetnego chirurga, ale nie miała pojęcia, co działo się z nim, zanim poszedł na studia. Zorientowała się, że nie lubi szastać pieniędzmi i żyje raczej skromnie. Przyznał się, że aby zdobyć dyplom, musiał zaciągnąć duży kredyt. I tyle. Poza tymi szczątkowymi informacjami nie wiedziała nic o jego przeszłości.

Chyba ściągnęła go wzrokiem, bo nagle podniósł głowę i popatrzył na nią przenikliwie.

– Parametry życiowe bez zmian – powiedziała szybko.

– Dobrze. – Zmrużył oczy w uśmiechu. Dobry Boże, facet ma twarz do połowy zasłoniętą maską, a jej aż robi się gorąco, bo odgadła, że się do niej uśmiecha. W ciągu roku miał więcej kobiet, niż ona przyjaciół w całym swoim życiu, a teraz prawie mdleje, bo rzucił jej jedno z tych swoich powłóczystych spojrzeń.

Chyba powinna pójść do psychiatry. I to szybko.

– Skończyłem – oznajmił po chwili. – Możesz ją wybudzać. Jak będziesz ją odwoziła na blok pooperacyjny, poproś, żeby uważali na szyny, którymi usztywniłem jej nogę.

– Dobrze – obiecała i przekazała dziewczynkę pod opiekuńcze skrzydła Grety.

Ledwie zdążyły przenieść Louise na łóżko, zaczęła się niespokojnie rzucać.

– Pewnie bardzo ją boli. – Moriah starała się przytrzymać półprzytomną dziewczynkę. – Greto, podaj jej szybko morfinę.

– Dobrze, daję dwa miligramy. – Pielęgniarka odłączyła kroplówkę i przez wenflon wstrzyknęła lek do żyły.

Ponieważ po upływie paru minut Louisa wciąż była niespokojna, Moriah poleciła dać jej

jeszcze jedną dawkę.

– Sprawdź wenflon – poprosiła Gretę, usiłując unieruchomić nogi dziewczynki. – Może trzeba zrobić nowe wkłucie?

Greta uważnie obejrzała igłę tkwiącą w żyłę.

– Rzeczywiście, muszę się wkłuć w inne miejsce.

– Ja to zrobię. – Moriah chciała jak najszybciej usmierzyć ból, który musiał być nie do zniesienia. – Przytrzymaj ją, Greto.

Wspólnymi siłami zdołały założyć nowy wenflon, ale Louisa cierpiała coraz bardziej. Wciąż oszołomiona narkozą, szarpała się coraz mocniej.

– Greto, błagam, daj jej szybko morfinę. – Moriah robiła wszystko, co w jej mocy, by unieruchomić dziewczynkę.

Pielęgniarka uwijała się jak w ukropie. Wprawdzie wstrzyknęła lek, ale zrobiła to parę sekund za późno. Trzask! W pustej sali odgłos pękającej szyny zabrzmiał jak wystrzał.

– O nie! – jęknęła Moriah. – Wezwij Blake’a natychmiast. Powiedz mu, że Louisa złamała szynę.

Blake zjawił się błyskawicznie. Na szczęście morfina zaczęła działać i Louisa się uspokoiła.

– Przepraszam. Powinnam sprawdzić, czy wenflon jest drożny. – Moriah nie próbowała się usprawiedliwiać.

– Na szczęście nie pozrywała szwów – wysapał Blake, zakładając dziewczynce nową szynę. – Pierwszy raz widzę, żeby dziecko zrobiło coś takiego. – Z niedowierzaniem pokręcił głową. – Posiedzę przy niej. Poproś, żeby przysłali nam tu lunch.

To tyle, jeśli chodzi o postanowienie, żeby spędzać z nim jak najmniej czasu, jęknęła w duchu Moriah.

– Myślisz, że to konieczne? – zapytała. – Już się uspokoiła, poza tym Greta będzie miała ją na oku.

– Dopóki nie przywiozą jej następnego pacjenta, czyli przez jakieś pięć minut – zauważył przytomnie. – Wolę mieć pewność, że Louisa nic sobie nie zrobi. Morfina niedługo przestanie działać.

Ponieważ żaden sensowny argument nie przychodził jej do głowy, Moriah dała za wygraną. Usiadła i z rezygnacją patrzyła, jak Blake sięga po telefon i dzwoni do bufetu. Pocieszała się, że lepiej zjeść z nim lunch na bloku pooperacyjnym, gdzie obecność Grety przypominała, że są w pracy, niż w hotelowej restauracji.

– Można zapytać, po co dzwonił twój brat? – zagadnął Blake. – Z rodzicami wszystko w porządku?

– Tak. Martwili się, że się nie odzywam. Nie miałam czasu poszukać kafejki internetowej, żeby wysłać do nich maila.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? Zaprowadziłbym cię do kafejki.

– To nie jedyny powód, dla którego Johnny chciał się ze mną skontaktować – przyznała.

– Postanowił się ożenić.

– Ożenić? – Blake zmarszczył czoło. – A on nie jest na to za młody?

Roześmiała się.

– Przecież ma dwadzieścia dziewięć lat. Jest raptem dwa lata młodszy ode mnie. – Dla faceta takiego jak Blake czterdzieści dziewięć też byłoby za wcześnie, pomyślała cierpko. Nagle przy swoich trzydziestu jeden latach poczuła się strasznie stara. Zwłaszcza na rodzenie dzieci. – Cieszę się, że wreszcie znalazł dziewczynę, o jakiej marzył – dodała, byle coś powiedzieć.

– Znasz ją? – zainteresował się.

– Nie. Ale wiem, że skoro kocha mojego brata, będzie pasowała do naszej rodziny.

– Skąd ta pewność? – Odłożył widelec i odsunął od siebie talerz takim ruchem, jakby nagle stracił ochotę na jedzenie. – Niektórzy nie lubią dużych rodzin.

– Na przykład ty. – Niemal natychmiast pożałowała swoich słów. Wyraz winy w jego oczach tylko potwierdził to, czego od dawna się obawiała. Blake nie żartował. On naprawdę nie miał zamiaru założyć rodziny. Nigdy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Nie mówimy o mnie, tylko o twoim bracie – przypomniał jej. – To on powinien wiedzieć, na co się decyduje.

– Znam Johnny’ego. Wiem, że nie prosiłby o rękę dziewczyny, której nie kocha. – Zmrużyła oczy i roześmiała się drwiąco. – Wybacz, ale w kwestii uczuć nie jesteś dla mnie autorytetem. A co do mojego brata, to uwierz mi, że mimo młodego wieku potrafi odróżnić miłość od pożądania.

Nie obraził się, choć może powinien za ton, jakim do niego mówiła. Zmierzył ją tylko jednym ze swoich słynnych spojrzeń, których nie znosiła, gdyż przypawiały ją o dreszcze.

– Dobrze wiesz, że tego, co wtedy przeżyliśmy nie da się sprowadzić do zwykłego zaspokojenia pożądania – zauważył cicho.

– Wiem – przyznała, nie podnosząc oczu znad talerza. Westchnął ciężko.

– Przecież to, że mamy inny pomysł na życie, wcale nie znaczy, że w ogóle do siebie nie pasujemy.

Czyżby sugerował, że pasują do siebie w łóżku? Teraz poczuła się obrażona.

– Słuchajcie... – Greta nieświadomie przerwała im rozmowę, która niechybnie skończyłaby się sprzeczką. – Nie zostało wam coś do jedzenia? Umieram z głodu.

– Blake zaraz ci coś zamówi. – Moriah wstała, by odnieść talerz do pomieszczenia, w którym zbierano brudne naczynia. Po powrocie podeszła do łóżka Louisy. – Myślę, że będzie już spokojna. Można ją przenieść do normalnej sali – stwierdziła i wypisała formularz. A potem udała, że nie dostrzega badawczego spojrzenia Blake’a, i jak gdyby nigdy nic wyszła.

Ledwie zamknęły się za nią drzwi, przystanęła, by wziąć kilka głębokich oddechów. Choć nie chciała się do tego przyznać, w głębi serca czuła, że Blake powiedział prawdę. W każdym razie z jej strony to na pewno było coś więcej niż pożądanie.

Następnego dnia została wyznaczona na dyżurnego anestezjologa i zastępowała kolegów podczas przerw. Odpowiadał jej taki układ, gdyż dzięki temu nie miała tak często do czynienia z Blakiem.

„Dobrze wiesz, że tego, co wtedy przeżyliśmy, nie da się sprowadzić do zwykłego zaspokojenia pożądania”. Skoro tak, to dlaczego ją porzucił? Nie dość, że odszedł, co samo w sobie było wystarczająco bolesne, to jeszcze do innej kobiety. Tak mu było spieszo, że nawet nie zdążyła ostygnąć pościel, w której spali!

Takie ponure myśli nie opuszczały jej ani na chwilę, odbierając chęć do życia i apetyt. W porze lunchu wyszła co prawda do miasta, ale zupełnie nie miała ochoty na jedzenie. Za to na jednej z krętych ulic spotkała Henriego. Chłopiec miał zaraz wsiąść do szkolnego autobusu.

– Henri! – ucieszyła się, gdyż po tym, jak pierwszego dnia sam się do niech zgłosił, więcej go nie widziała. – Zastanawiałam się, gdzie przepadłeś.

Chciałabym skontaktować się z twoją mamą, gdyż musi podpisać zgodę na operację.

Chłopiec skulił ramiona. Sprawiał wrażenie zawstydzonego.

– To niemożliwe, pani doktor – szepnął. – Moja mama nie żyje. Mieszkam w domu dziecka.

– Henri! – Kucnęła obok niego i otoczyła go ramieniem. – Tak mi przykro...

– W domu dziecka nawet da się wytrzymać – powiedział bez przekonania. – Od czasu do czasu przywożą nas do miasta. Miałem szczęście, że udało mi się panią spotkać.

– Ja też miałam szczęście, że się spotkaliśmy – odparła bez namysłu. – Powiedz mi, z kim w takim razie powinnam porozmawiać?

– Z siostrą Ritą, ale jej dziś z nami nie ma. Przyjechaliśmy z siostrą Eloise.

Moriah spojrzała na zakonnicę, która usiłowała okiełznać rozbrykane dzieci.

– Powiedz siostrze Ricie, że się z nią skontaktuję. A teraz biegnij.

Henri skinął głową i dołączył do kolegów. W autobusie usiadł przy oknie, i przycisnąwszy buzię do szyby, wpatrywał się w nią i długo machał jej na do widzenia.

Zaczekała, aż autobus odjedzie, i dopiero wtedy ruszyła w stronę hotelu. Próbowała nie zamartwiać się sytuacją Henriego, ale nie łatwo było zapomnieć o jego smutnym losie. Mimo wczesnej pory nie wstąpiła do hotelowej restauracji, tylko poszła prosto do pokoju i z ulgą położyła się do łóżka. Nie musiała nastawiać budzika, gdyż nazajutrz miała pierwszy wolny dzień.

Blake też jutro odpoczywa. W zeszłym roku spędzali wolne dni razem. Teraz miało być inaczej.

Powinna być zadowolona, a nie była.

Mimo zmęczenia, długo nie mogła zasnąć. Kręciła się na łóżku, nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji. Wreszcie położyła się na plecach i wbiła wzrok w sufit. Nie ma sensu dłużej się okłamywać, pomyślała zgnębiona. Ani marzyć, że wreszcie rozpocznie w życiu nowy rozdział. Niby jak miałyby go zacząć, skoro dotąd nie udało jej się zamknąć tego, którego głównym bohaterem był Blake.

Nazajutrz wstała około wpół do dziewiątej, co w jej przypadku było niezłym wynikiem. Na dobry początek dnia odbyła ze sobą poważną rozmowę. I co z tego, że Blake nie jest mi obojętny? – zapytała zaczepnie swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Świat się od tego nie skończy. Skoro nie ma wpływu na swoje uczucia, będzie musiała jakoś z tym żyć, przynajmniej do końca misji. Potem coś wymyśli.

Najważniejsze, by Blake się nie zorientował, że wciąż jest w nim zakochana. Dobrze, koniec z tym, powiedziała sobie twardo, szorując zęby z takim zapalem, jakby wraz z osadem nazębnym pozbywała się wszelkich wątpliwości.. Skoro nie chce o nim myśleć, musi znaleźć sobie jakieś ciekawe zajęcia. Wtedy nie będzie miała czasu na uczuciowe rozterki.

Wycieczka do ruin budowli wzniesionej przez Inków nie wchodziła w grę. Nie miała zamiaru dobijać się wspomnieniami o tym, jak przed rokiem zwiedzała ją razem z Blakiem. Zamiast rozpamiętywać, jak trzymając się za ręce, podziwiali piękno starej architektury, postanowiła jechać nad ocean i pochodzić po nadbrzeżnych skałach. Liczyła na to, że szum fal ukoi jej zboląłą duszę, a słońce skutecznie poprawi nastrój.

Ubrała się w wygodny sportowy strój, wrzuciła do plecaczka paczkę krakersów, butelkę

wody i krem ochronny, i zbiegła na śniadanie. Tortilla z papryką smakowała wybornie, więc pochłonęła całą porcję. I tak się najadła, że musiała odczekać pół godziny, by móc wsiąść na rower, który zamierzała wypożyczyć. Ponieważ wszystkie rowery były akurat zajęte, musiała poczekać, aż któryś się zwolni.

Wreszcie po godzinie była gotowa do drogi. Siedziała już na siodełku i właśnie miała ruszyć, gdy dostrzegła Blake'a. Stał po drugiej stronie ulicy i rozmawiał z jakimś Peruwiańczykiem. Chciała nawet do niego podejść i zapytać, jakie ma plany, ale nie zrobiła tego. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Nie powinno jej obchodzić, co Blake zamierza robić z wolnym czasem.

Kiedy odjeżdżała, zdawało jej się, że ją wołał. Jednak gdy się odwróciła, już go nie było. Mam omamy słuchowe, zirytowała się, i mocno nacisnęła pedały.

Droga prowadząca nad ocean była nierówna i wyboista, ale ruch i świeże powietrze rekompensowały wszystkie trudy. Słońce przyjemnie ogrzewało jej twarz, a pachnący słonawo wiatr znad oceanu rozwiewał włosy i chłodził skórę. Jadąc wzdłuż wybrzeża, spoglądała na widoczną poniżej piaszczystą plażę, na której wygrzewał się wielobarwny tłum.

Zamiast dołączyć do wesołych plażowiczów, ominęła ich i skierowała się ku skałom. Zatrzymała się u podnóża łagodnego klifu, i schowawszy rower między głazami, zaczęła wspinać się po kamieniach. Wybrała najłatwiejsze podejście, bo nie zależało jej na adrenalinie; chciała wdrapać się na płaski jak stół wierzchołek, z którego rozciągał się wspaniały widok na połyskujący w słońcu ocean i białą wstęgę plaży.

Zachwycona pięknem rozciągającym się u jej stóp, westchnęła głęboko i usiadła na skale. Otoczyła ramionami kolana, i oparłszy na nich głowę, słuchała, jak fale rozbijają się o brzeg.

Przyszła tu, by pobyć sama, jednak szybko zmęczyła się swoim towarzystwem. Szkoda, że nie starczyło jej odwagi, by zaproponować Blake'owi wspólną wyprawę na klify. Może nie jest dla niej idealnym partnerem, za to kompanem był doskonałym. W tej chwili bardzo jej go brakowało. Zwłaszcza że w zeszłym roku świetnie się razem bawili.

Z drugiej strony nie mogła zapominać, że musi się wreszcie nauczyć żyć bez niego. Powinna jak najszybciej oswoić się z myślą, że po zakończeniu misji każde z nich pójdzie w swoją stronę.

Pochłonięta rozmyślaniami, straciła rachubę czasu. Nie miała pojęcia, czy przesiedziała tak kwadrans, czy godzinę. Dopiero głód zmusił ją do powrotu do rzeczywistości. Wyciągnęła z plecaka swoje skromne zapasy i posiliwszy się, postanowiła wracać na dół.

Zejsście okazało się o wiele trudniejsze niż wspinaczka. Wprawdzie zbocze nie było strome, ale między głazami znajdowało się mnóstwo zdradzieckich szczelin. Poza tym zapiaszczone kamienie były wyjątkowo śliskie. Moriah patrzyła bacznie pod nogi i starała się iść ostrożnie, ale w pewnej chwili pośliznęła się i straciła równowagę. Na szczęście nie upadła, ale jej prawa stopa obsunęła się i ugrzęzła w jakiejś dziurze. Kostka zabolęła ją mocno, odczekała więc chwilę i spróbowała wyciągnąć stopę spomiędzy kamieni. Bez skutku.

Zirytowana spojrzała w dół. Szczelina nie była głęboka, ale masywny but zaklinował się między ostrymi krawędziami i utknął na dobre. Jeszcze raz spróbowała go wyciągnąć, ale

każdy ruch sprawiał jej taki ból, że zaniechała dalszych prób.

I co teraz? Zdesperowana rozejrzała się za jakąś pomocą. Jak na złość w pobliżu nie było żywej duszy. A noga bolała coraz bardziej.

Ale ze mnie idiotka! – zdenerwowała się. Po co w ogóle pchała się na te skały? Ciekawe, ile czasu upłynie, zanim ktoś ją tu znajdzie?

Nagle poczuła ukłucie i tak ostry ból, że aż podskoczyła do góry. Coś ją ugryzło w kostkę. Co to mogło być? Przerazona przykucnęła i zaczęła wpatrywać się w szczelinę. Mogłaby przysiąc, że coś się tam poruszyło. Pewnie jakieś stworzenie czmychnęło głębiej między kamienie. Aż ją zemdlilo z przerażenia.

A jeśli to skorpion? No nie, bez przesady. Skorpiony wypełzają z kryjówek nocą, rzadko widuje się je w biały dzień. Z drugiej strony pod kamieniami jest przecież ciemno...

Z trudem przełknęła ślinę. Może to pajak? Ciekawe, czy w Peru żyją jadowite pająki? Na przykład tarantule? Gdzieś czytała, że to najbardziej odrażające pająki na ziemi. Na myśl, że wielki włochaty potwór wlaź jej na nogę, wpadła w taką panikę, że nie zważając na ból, zaczęła się szarpać, gotowa na wszystko, byle tylko uwolnić się z pułapki. Zwojowała tyle, że kostka rozbolała ją jeszcze bardziej, a zakleszczony but ani drgnął.

W tej sytuacji nie pozostało jej nic innego, jak tylko modlić się, żeby to, co ją ugryzło, nie było jadowite.

Blake kręcił się przed hotelem. Dręczyło go irracjonalne przecucie, że Moriah spotkało coś złego. Zbyt długo nie wracała z przejażdżki. A on z każdą chwilą martwił się coraz bardziej. I nie wstydził się do tego przyznać.

Sześć kroków w jedną stronę. Obrót. Sześć kroków z powrotem. Spojrzenie na zegarek. Po raz setny. Kiedy odjeżdżała sprzed hotelu, było wpół do jedenastej. Teraz dochodziła trzecia. Gdzie ona się podziewa?

Żałował, że nie zaproponował jej, by razem spędzili wolny dzień. Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślał. Co prawda zawołał ją, gdy odjeżdżała, ale chyba nie usłyszała. Powinien był zapomnieć o ambicji i jechać za nią. Przynajmniej wiedziałby, gdzie ona teraz jest.

Swoją drogą Moriah pewnie i tak by się nie zgodziła, by dotrzymał jej towarzystwa.

Bezczyenne czekanie doprowadzało go do szału, więc postanowił działać. Energicznie przywołał taksówkę, bo wymyślił sobie, że pojedzie wzdłuż drogi, którą wyruszyła Moriah. Pewnie i tak jej nie znajdzie, ale zawsze to lepsze niż beczynność.

W Trujillo jeździło mnóstwo taksówek, tyle że żadna nie miała taksometru. Pasażer musiał na wstępie ustalić z kierowcą cenę za kurs. W normalnej sytuacji Blake by się targował, tym razem jednak machnął ręką na pieniądze. Ustalił z kierowcą, że zapłaci mu za godzinę jazdy.

– Niech pan jedzie w tę stronę. – Wskazał ręką kierunek. – Dokąd prowadzi ta droga?

– Na plażę.

Odetchnął. Przynajmniej wiadomo, gdzie pojechała. Był pewien, że zaraz ją odnajdzie. Mylił się.

– Niech pan stanie przy wejściu – poprosił kierowcę i przez kwadrans wpatrywał się grupki ludzi wychodzących z plaży. Moriah wśród nich nie było.

Ściągnął brwi i dłuższą chwilę obserwował nabrzeże. Nigdzie nie zauważył roweru. Nie chciało mu się wierzyć, by osoba tak rozsądna jak Moriah zostawiła rower na plaży i wybrała się na spacer. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większą miał pewność, że nie znajdzie jej wśród plażowiczów.

W pewnym momencie spojrzął na pobliskie skały. Na ile ją znał, mogło przyjść jej do głowy, żeby się na nie wspiąć i podziwiać widoki. Kiedy w zeszłym roku zwiedzali ruiny, bardzo chciała wejść na piramidę; była bardzo zawiedziona, gdy okazało się, że jest to zabronione.

– Niech pan podjedzie do tych skał – poprosił.

Kierowca spojrzął na niego z ukosa, a potem obojętnie wzruszył ramionami i zjechał z jezdni na piaszczystą drogę wiodącą do podnóża klifu.

– Proszę tu stanąć! – Gdy mijali grupę głazów, coś błysnęło w słońcu. Blake pospiesznie wysiadł z taksówki i poszedł sprawdzić co to. Pomiędzy głazami stał częściowo ukryty rower.

– Moriah? Moriah! Jesteś tu?!

– Blake! Wpadłam. Błagam, pomóż!

– Wpadłam? – O czym ona mówi? I wtedy ją zobaczył w połowie zbocza. – Czekaj, już idę! – zawołał i potykając się o kamienie, zaczął piąć się pod górę.

– Stopa mi uwięzła w jakiejś rozpadlinie. – Moriah była spocona i brudna, ale jego naszła chęć, by ją natychmiast pocałować. – Spróbuj jakoś mnie stąd wyciągnąć!

– Co ty masz na bucie? – zdziwił się po pierwszej nieudanej próbie oswobodzenia.

– Krem. Miałam nadzieję, że jak się nim posmaruję, uda mi się wyciągnąć nogę z buta.

Pomysł okazał się trafiony. Dzięki temu, że but i stopa były śliskie, Blake zdołał uwolnić ją z pułapki.

Starła się być dzielna, ale kiedy ciągnął ją za stopę, nie wytrzymała i krzyknęła z bólu.

– No, udało się – odetchnął. – Oby tylko nie była złamana. – Z zafrasowaną miną przyjrzał się sinej, mocno spuchniętej kostce. – Wyobrażam sobie, jak bardzo cię boli – dodał ze współczuciem.

Spróbowała się uśmiechnąć.

– Trudno, niech boli. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że mnie tu znalazłeś. Już się zaczynałam bać, że będę musiała nocować na tych skałach.

Chciał ją objąć i przytulić, ale zaraz odezwał się w nim lekarz. Najpierw musi jej pomóc, na inne sprawy będzie czas potem.

– Chodź, musimy cię jakoś sprowadzić na dół. – Rozejrzał się dokoła, zastanawiając się, jak to zrobić.

– Nie martw się, znam jeden wypróbowany sposób. – Uśmiechnęła się. – Ześliznę się na pupie.

Jak powiedziała, tak zrobiła. Pomagając sobie rękami, ostrożnie przesuwiała się od jednego głazu do drugiego. Blake'owi nie pozostało nic innego, jak tylko ją asekurować.

Kiedy do pokonania został ostatni odcinek, położył rękę na jej ramieniu i poprosił, żeby chwilę zaczekała.

– Zejdę pierwszy i zdejmę cię.

– Dobrze. – Nie miała siły upierać się, że sama sobie poradzi.

Zwinnie zeskoczył na dół i wyciągnął do niej rękę.

– Oprzyj się mocno na moich ramionach. Jak policzę do trzech, ostrożnie się zsuń – poinstruował. – Raz, dwa, trzy. – Zaparł się mocno nogami, tak by nie zachwiać się pod jej ciężarem, i po chwili delikatnie postawił ją na ziemi. Jednak zamiast ją puścić, przytulił ją do siebie jeszcze mocniej. – Kurczę, Moriah, napędziłaś mi stracha.

– Sobie też – przyznała. Nie próbowała się od niego odsunąć – wręcz przeciwnie, mocno się w niego wtuliła. Na podorędziu miała proste wytłumaczenie: przecież boli ją noga, więc musi się o coś oprzeć. – Strasznie żałowałam, że nie ma cię przy mnie.

– Ja też żałuję, że mnie przy tobie nie było. Nawet nie wiesz, jak bardzo – powiedział i pocałował ją w usta.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tak się zatracił w tym pocałunku, że zapomniał o bożym świecie. W głowie zaroilo się od wspomnień, a jemu wciąż było mało. Po prostu nie mógł się nasycić Moriah. Czuł, że jest mu potrzebna do życia jak woda i powietrze. Czas spędzony bez niej, wszystkie te puste miesiące, przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Liczyło się tylko to, że znów trzyma ją w ramionach, a ona nie ucieka od niego, tylko mocno obejmuje go za szyję i odwzajemnia pocałunek.

– Halo, proszę pana. Właśnie minęła godzina! – Taksówkarz, zaniepokojony przedłużającą się nieobecnością klienta, poszedł zobaczyć, co się z nim dzieje.

– Co takiego? – Blake uniósł głowę i spojrzał na niego niewidzącym wzrokiem. Gdyby mógł, zostałby pod tymi skałami na zawsze, ale musi zawieźć Moriah do szpitala. – Już idziemy. Niech się pan nie martwi, zapłacę! – zawołał.

Moriah chciała pójść o własnych siłach, ale ledwie oparła się na nodze, syknęła z bólu i złapała Blake'a za rękę.

– Muszę się o ciebie oprzeć.

– Mam lepszy pomysł – odparł, biorąc ją na rękę.

– Blake! Przestań! Sama dojdę!

Nie słuchał jej protestów, choć oczywiście miała rację. Nie jest ciężko ranna, więc nie musi jej nieść. Ale chciał. Chciał jeszcze przez chwilę mieć ją blisko. Co za szczęście, że ją odnalazł.

– Czekaj! Mój rower! – zaniepokoiła się.

– Nie bój się, zabierzemy go. – Ostrożnie postawił ją obok taksówki. – Dasz radę wsiąść?

– Uspokój się, przecież to tylko stłuczona kostka, a nie całkowity paraliż! – obruszyła się i uważając, by nie urazić bolącej nogi, wsunęła się do środka.

Taksówkarz schował rower do bagażnika i po chwili ruszyli w stronę miasta.

– Pokaż tę kostkę. – Blake położył sobie jej stopę na kolanach i zaczął delikatnie badać. – Co my tu mamy? Wylew, otarcie naskórka, opuchlizna – wyliczał. – Zawieziemy cię do szpitala na ostry dyżur zawyrokuje.

O dziwo, nie protestowała. Co znaczyło, że noga boli ją o wiele bardziej, niż jest skłonna przyznać.

– Jest jakiś ślad po ugryzieniu? – zapytała.

– Po ugryzieniu? – Jeszcze raz uważnie obejrzał jej stopę. Rzeczywiście, na skórze widać było okrągłe zaczerwienienie. Poczuł, jak ze strachu robi mu się zimno. – Co cię ugryzło?

– Nie mam pojęcia. Nie widziałam, co to było, ale poczułam bolesne ukłucie.

– To mi wygląda na pajaka – stwierdził, próbując sobie przypomnieć gatunki żyjące w Peru.

– Lepszy pająk niż skorpion – pocieszyła się.

– Skorpiony są aktywne nocą – wyrecytował wyuczoną formułkę.

– Wiem, wiem. Ale żyją między kamieniami, gdzie przecież jest ciemno. Mogłam go niechcący obudzić. Może się wściekł, że włązę na jego terytorium? – stwierdziła lekkim

tonem, ale w oczach miała lęk.

– Kiedy poczułaś ukąszenie? – Blake miał nadzieję, że hipoteza ze skorpionem się nie sprawdzi.

– Chwilę wcześniej zanim mnie znalazłeś. Nie więcej niż dziesięć minut.

– Gdyby to był skorpion, jad zacząłby już działać. – Wziął ją za rękę i zaczął badać puls.

– Możesz oddychać? Nie masz uczucia, jakby brakowało ci powietrza?

– Nie, czuję się zupełnie normalnie. – Uśmiechnęła się krzywo. – Chyba wolę być lekarzem niż pacjentem – oznajmiła.

– Ja też, ale co zrobić? Czasem trzeba stanąć po drugiej stronie barykady. Powiedz, boli cię głowa? Masz zawroty?

– Trochę boli, ale to dlatego, że za długo siedziałam na słońcu.

Taksówkarz podjechał pod hotel, ale Blake poprosił go, by jechał do szpitala.

– Moją koleżankę musi zobaczyć lekarz – wyjaśnił.

– Przecież sam jesteś lekarzem – zauważyła przytomnie.

Do diabła, tak się tym wszystkim przejął, że zachowywał się i reagował nie jak lekarz, ale jak wystraszony członek najbliższej rodziny. Jeszcze mocniej ścisnął jej rękę.

Aż go zemdliło, kiedy pomyślał, że mógłby ją stracić. I tak będzie musiał bez niej żyć, ale zniesie to łatwiej, jeśli będzie miał pewność, że jest zdrowa i bezpieczna.

Chociaż teraz, po tym namiętnym pocałunku, będzie mu o wiele trudniej trzymać się od niej z daleka.

Moriah skrzywiła się na widok inwalidzkiego wózka, ale posłusznie usiadła. Obawiała się, że jeśli tego nie zrobi, Blake wniesie ją do szpitala na rękach.

Jego rycerski gest wytrącił ją z równowagi, dosłownie i w przenośni. Gdy wziął ją na rękę, poczuła się bezbronna jak dziecko, a jednocześnie bezpieczna. Była mu ogromnie wdzięczna, że zainteresował się, co się z nią dzieje. Gdyby jej nie znalazł, pewnie jakoś wyciągnęłaby stopę ze szczeliny i zeszła o własnych siłach na dół. Tylko co potem? Wątpliwe, by dała radę wrócić do hotelu na rowerze.

W izbie przyjęć dyżurował ten sam młody lekarz, który odbierał poród Rashy.

– Dzień dobry, doktorze. Znowu się spotykamy. Pamięta mnie pan? – zagadnęła go z uśmiechem. – Jestem Moriah Howe – przypomniała na wszelki wypadek – a to mój kolega, doktor Blake Powers.

– Oczywiście, że panią pamiętam. Enrique Sanchez – przedstawił się lekarz, podając rękę Blake'owi.

– Co się stało tym razem? – zapytał.

– Na szczęście nic poważnego. Chyba skręciłam kostkę. – Moriah wskazała swoją opuchniętą stopę.

– Trzeba będzie prześwietlić, żeby sprawdzić, czy nie ma złamania – wtrącił się Blake.

– Jasne. Niech pan wwiezie koleżankę do gabinetu. Zbadam ją, a potem zrobimy prześwietlenie – powiedział doktor Sanchez.

– Niech pan obejrzy ten ślad po ugryzieniu – ciągnął Blake, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

– Niestety Moriah nie widziała, co ją ugryzło. Podejrzewam, że to sprawka pająka. Macie tu w Peru jakieś jadowite gatunki?

– Blake, pozwól, że sama wszystko opowiem doktorowi. – Moriah nie kryła irytacji. Była wdzięczna Blake’owi za pomoc i opiekę, ale uznała, że zaczyna przesadzać. Nie mogła pozwolić, by traktował ją jak dziecko. – To na pewno był pająk – powiedziała stanowczo.

– Też tak sędzę – zgodził się doktor Sanchez, obejrzawszy dokładnie charakterystyczną czerwoną aureolę wokół śladu po ukąszeniu. – Przypuszczam, że to był...

– Proszę nie mówić! – przerwała mu, wstrząsając się z obrzydzeniem. – Nawet nie chcę wiedzieć, jak się nazywa.

– Nie lubi pani pająków? – Doktor uśmiechnął się kącikiem ust.

– Nie znoszę!

Pół godziny później zdjęcia rentgenowskie były gotowe. W czasie badania i prześwietlenia Moriah próbowała być wzorową pacjentką, ale chwilami było to ponad jej siły. Najpierw wykręcali jej stopę na wszystkie strony, powodując straszny ból, a potem zrobili okład z lodu, który zamiast przynieść ulgę, tylko spotęgował przykre doznania. Na domiar złego Blake i doktor Sanchez wspólnie oglądali i omawiali klisze, ignorując jej obecność. Moriah przez chwilę siedziała spokojnie, ale w końcu nie wytrzymała.

– Nie uważacie za stosowne pokazać mi tych zdjęć?

– A tak, oczywiście – zreflektował się doktor Sanchez i spełnił jej prośbę. – Na szczęście noga nie jest złamana, tylko skręcona, ale i tak nie można lekceważyć tego urazu.

– Dlatego będziesz musiała... – zaczął Blake.

– Wiem. Dużo leżeć, robić okłady z lodu, trzymać stopę wyżej – weszła mu w słowo, bo przecież doskonale wiedziała, jak należy postępować. Na myśl, że przez kilka dni będzie kuśtykała, ze złości dostawała dreszczy.

– Siostrze, proszę przynieść kule – zwrócił się doktor do pielęgniarki.

– Czy to naprawdę konieczne? – Moriah spojrzała na niego nieufnie.

– Tylko dopóki nie zejdziesz opuchlizna. Potem będzie pani mogła je odstawić.

Blake stanął za nią i położył ręce na jej ramionach.

– Jeśli nie chcesz chodzić o kulach, będę cię wszędzie nosił – oświadczył.

– Bardzo śmieszne! – skrzywiła się.

– Może pani wracać do domu. – Doktor Sanchez podał jej parę kul. – Gdyby ból się nasilił, proszę się do nas zgłosić.

– Oczywiście. – Moriah dźwignęła się do góry i zrobiła parę kroków, wspierając się na kulach. Było lepiej, niż się spodziewała. No i wreszcie odzyskała samodzielność.

– Dasz radę dojść do hotelu czy chcesz, żebym wezwał taksówkę? – zapytał Blake.

– Myślę, że dojdę, przecież do niedaleko. – Dziarsko ruszyła z miejsca, lecz po paru krokach gwałtownie się zatrzymała. – Słuchaj, nie zabraliśmy roweru z taksówki!

– Zapłaciłem taksówkarzowi trochę więcej i poprosiłem, żeby odwiózł go do hotelu. Dlaczego tak się martwisz o ten rower?

– Bo niewiele brakowało, a musiałabym dać w zastaw mój paszport. A tak swoją drogą, czy już ci podziękowałam za to, że wyciągnąłeś mnie z opresji?

– Tak. Dobrze, że dotarłem do ciebie w miarę szybko. Gdybyś tkwiła tam przez parę godzin, kość prawdopodobnie nie wytrzymałaby nacisku i zamiast zwicnięcia byłoby złamanie.

– Tym bardziej dziękuję za pomoc.

Gdy dotarli do hotelu, Moriah od razu sprawdziła, czy rower wrócił do wypożyczalni.

– Tak, proszę pani. Wszystko w porządku – zapewnił ją menedżer.

– Pójdę do siebie – powiedziała Blake’owi. – Muszę się wykapać.

– Niezła myśl. Trzymaj się! – rzucił swobodnie i poszedł do swojego pokoju. Zachowywał się tak, jakby cudowny pocałunek pod skałami w ogóle się nie zdarzył.

Popatrzyła za nim, zaskoczona i w pewnym sensie rozczarowana, a potem westchnęła i pokuśtykała do swojego pokoju. Nie rozumiała, skąd to rozczarowanie. I uporczywe pragnienie, by być jak najbliższej Blake’a. Przecież sytuacja się nie zmieniła. Blake nadal nie jest mężczyzną dla niej. Nie był i nie będzie, choćby spędziła z nim nie wiadomo ile czasu.

Przykry finał krajoznawczej wycieczki przestraszył ją bardziej, niż była skłonna przyznać. Zwłaszcza że pechowa przygoda spotkała ją w obcym kraju. Kiedy u podnóża klifu zobaczyła Blake’a, nie wierzyła własnym oczom. Gdy po chwili zdejmował ją ze skał, czuła się cudownie bezpieczna; miała pewność, że przy nim nic jej nie grozi. Z kolei niespodziewany pocałunek kazał jej na nowo przeżyć namiętą noc sprzed roku.

Stojąc pod prysznicem w strugach przyjemnie chłodnej wody, pozwoliła odżyć wspomnieniom, które od tyłu miesięcy konsekwentnie spychała na dno niepamięci. Kochali się dosłownie wszędzie, łącznie z miniaturową kabiną prysznicową. Zupełnie się w tym zatracili. Namiętność dosłownie odbierała im rozum. Blake wyjątkowo hojnie obdarowywał ją pieszczotami i niepodzielną uwagą.

A następnego ranka czar prysł. Spotkali się na lotnisku, ale wtedy on był już zajęty flirtowaniem z Suzanne, pielęgniarką. Kiedy Moriah podeszła, by się przywitać, ledwie na nią spojrział. Burknął coś pod nosem i natychmiast wrócił do swej roześmianej towarzyszki.

Wspomnienie tej poniżającej sceny ugodziło ją w serce jak nóż. Lepiej o tym jak najszybciej zapomnieć. Nigdy do tego nie wracać. I nie popełnić drugi raz tego samego błędu, przykazywała sobie, wycierając się po kąpieli.

Nie była specjalnie głodna, ale rozsądek podpowiadał, że powinna coś zjeść. Zadzwoiła więc do hotelowej kuchni i zamówiła posiłek do pokoju. Gdy go zjadła, przebrała się w luźną sukienkę i usiadła na łóżku, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć. Gapienie się na cztery ściany niewielkiego pokoju doprowadzało ją do szału.

Żeby wypełnić czymś czas, postanowiła znaleźć kafejkę internetową, o której wspominał Blake. Najwyższy czas wysłać rodzicom maila.

Niechętnie sięgnęła po kule i ruszyła do drzwi. Gdy je otworzyła, oniemiała ze zdumienia. Na korytarzu stał bowiem Blake.

– Cześć. – Nieco kanciastym ruchem włożył ręce do kieszeni spodni. – Przyszedłem sprawdzić, jak się czujesz. I zapytać, czy niczego ci nie potrzeba.

– Nie... – Na moment zapadła niezręczna cisza.

– Widzę, że wychodzisz. Mogę pójść z tobą?

W pierwszym odruchu chciała się nie zgodzić. Przecież dopiero co obiecała sobie, że już nigdy nie popełni tamtego błędu.

– Proszę...

Nieśmiała prośba skutecznie przełamała jej opór. Jeszcze chwilę się zastanawiała, a potem odetchnęła i skinęła głową. Być może znów pakuje się w kłopoty, ale czuła, że powinna dać szansę tej dziwnej przyjaźni. I zobaczyć, co z niej wyniknie.

Wspierając się na kulach, wyszła za próg. Miała przy tym pełną świadomość, że jest to symboliczny krok w nieznaną.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Dokąd się wybierasz? – zapytał, żeby jakoś nawiązać rozmowę.

– Do kafejki internetowej. Muszę wysłać wiadomość do domu.

Jasne. Kobieta taka jak ona nie może dopuścić, żeby rozluźniły się rodzinne więzy. Rozumiał to, choć zupełnie się z tym nie identyfikował.

– Zaprowadzę cię tam – zaproponował.

– Dobrze. Skoro nie masz nic innego do roboty... – rzuciła obojętnie.

Wiedział, że z łatwością trafiłaby tam sama, ale bardzo chciał na coś się przydać.

Wyszli z hotelu i skręcili w najbliższą ulicę, nietypową, gdyż biegnącą po okręgu. Po upalnym dniu nastał rześki wieczór; Blake zauważył, że Moriah drży w swojej zwiewnej sukience bez rękawów. Z trudem powstrzymał się, by jej nie objąć.

– Jakie piękne lampiony! – zachwyciła się, przystając obok pomnika, na którym wisiały.

– O, nawet ogrodzenia są ozdobione kolorowymi wstążkami. Chyba szykuje się jakieś święto.

– Pod koniec tygodnia rozpoczyna się lokalny festyn.

– Tak? Skąd wiesz?

– Powiedzieli mi miejscowi, jak im pomagałem wieszac lampiony.

– Wieszac lampiony? W wolny dzień? – Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Czemu nie? – Wzruszył ramionami.

– A potem zmarnowałeś następną godzinę, szukając mnie. – Uśmiechnęła się kącikiem ust. – Założę się, że to był najgorszy wolny dzień w twoim życiu.

– Wręcz przeciwnie. – Pocałunek pod skałami wszystko mu wynagrodził. – Jeśli czegoś żałuję, to tylko tego, że nie spędziliśmy razem całego dnia – wyznał, zanim zdążył zastanowić się, co mówi.

– Oj, Blake – westchnęła. – Siedziałam na tych przeklętych skałach, gapiłam się na ludzi na plaży i na ocean, i cały czas żałowałam, że cię tam ze mną nie ma.

Jej promienny uśmiech sprawił, że zrobiło mu się cieplej na sercu. Im dłużej o tym wszystkim myślał, tym mniej rozumiał, dlaczego tak bardzo zależy mu na tym, by przy niej być. Był jednak pewny, że nie jest w stanie zrezygnować z jej towarzystwa.

W kafejce internetowej usiedli przy jednym komputerze.

– Może chcesz wysłać maila do swoich rodziców? – zapytała, gdy zapłaciwszy za połączenie, weszła do internetu. – Pewnie się ucieszą, gdy dostaną od ciebie wiadomość.

– Moi rodzice nie żyją. – Natychmiast pożałował, że powiedział to tak beznamiętnie, jakby fakt ich odejścia zupełnie go nie obchodził. Z drugiej strony miał nadzieję, że jeśli powie jej, jak wyglądało jego dzieciństwo i młodość, będzie jej łatwiej zrozumieć, dlaczego w zeszłym roku postąpił z nią tak, a nie inaczej.

Klikanie ustało. Moriah odwróciła wzrok od ekranu i spojrzała na niego ze współczuciem.

– Tak mi przykro, Blake. Nie wiedziałam... Wzruszył ramionami. Krępowało go jej współczucie.

– Nic się nie stało. Od lat nie utrzymywałem z nimi kontaktu.

– Dlaczego?

Cholera, niepotrzebnie zaczął tę rozmowę. Poruszył się nerwowo na krześle. Szkoda, że nie posłuchał instynktu, który wyraźnie mówił, by trzymać się od niej jak najdalej. Problem w tym, że nie był w stanie tego zrobić.

I nie pomagała nawet świadomość, że tak byłoby lepiej i dla niej, i dla niego samego.

– Moi rodzice byli zupełnie inni niż twoi – odrzekł wymijająco. – Obydwoje byli bardzo zaangażowani, ciągle wyjeżdżali na misje. Pewnie nie wiesz, że urodziłem się w Afryce. Do pewnego czasu wszędzie mnie ze sobą zabierali. Ale kiedy musiałem pójść do szkoły, odesłali mnie do wujostwa. Moi rodzice nie pragnęli dzieci. W ich życiu nie było dla nich miejsca.

– Straszne jest to, co mówisz. – Delikatnie ścisnęła go za ramię. – Żaden rodzic, choćby nie wiem jak zapracowany, nie ma prawa tak traktować swojego dziecka.

Położył dłoń na jej dłoni.

– Nie wszystkie rodziny są tak zżyte ze sobą jak twoja. Właśnie to próbowałem ci powiedzieć. Niektórzy ludzie naprawdę nie są stworzeni do życia w rodzinnym stadle.

– Jestem pewna, że gdybyś tylko chciał, byłbyś do tego zdolny.

Pokręcił głową.

– Chodzi o to, że ja wcale nie chcę. Czy to taka zbrodnia, że wolę poświęcić się pracy? Raz, kiedy byłem na studiach, miałem dziewczynę, z którą próbowałem się związać. Na szczęście nic z tego nie wyszło, bo pewnie dziś oboje bylibyśmy nieszczęśliwi. Nie miałem za wiele do czynienia z dziećmi, ale przecież wiem, że trzeba im poświęcić mnóstwo czasu i energii. Nie mam ochoty tego robić. Moriah, ja po prostu jestem ulepiony z innej gliny niż ty.

– Nie wierzę!

Zanim zdążył przekonać ją, że mimo wszystko to on ma rację, do kafejki weszły roześmiane Greta i Claire. Tylko nie to, jęknął w duchu. Najchętniej wstałby i wyszedł, ale one już ich zauważyły i szły, żeby się przywitać.

– Cześć. Fajne miejsce, prawda? – Greta odezwała się pierwsza.

– Super. Najważniejsze, że jest skąd wysyłać maile – odparła Moriah, dyskretnie wysuwając dłoń z jego dłoni.

– Cześć, Blake! – Claire uśmiechnęła się słodko. Musiała jednak zauważyć, jak Moriah zabiera rękę, bo natychmiast spoważniała i ostentacyjnie odwróciła się w drugą stronę.

Blake zupełnie nie wiedział, jak się zachować. Od kolacji, którą zjadł z Claire zaraz po przyjeździe, prawie z nią nie rozmawiał. Nie miał pojęcia, dlaczego dziewczyna narobiła sobie nadziei; przecież wspólne wyjście do restauracji do niczego nie zobowiązuje. Poza tym to nie jego wina, że nie zrobiła na nim piorunującego wrażenia.

Zresztą, może wina rzeczywiście leży po jego stronie. Czy nie stosował zasady: klin klinem? Ileż to razy próbował znaleźć sobie jakąś dziewczynę, łudząc się, że w końcu zapomni o tej, która teraz siedzi tuż obok?

Milczał i z uporem wpatrywał się w ekran. W tym czasie Greta i Claire przeszły do wolnego komputera po drugiej stronie sali i zajęły się wysyłaniem maili.

A on? Smutne, ale w jego życiu nie było bodaj jednej bliskiej osoby, z którą chciałby się skontaktować.

– Sprawdzę służbową pocztę – powiedział, przenosząc się do wolnego stanowiska obok.

Praca. Postawił na karierę i tego zamierzał się trzymać. Nie żałował swojej decyzji, a już zdecydowanie nie chciał powielać błędów swoich rodziców. Nie powinien więc czuć się winny, że był z Moriah szczerzy. Niektórzy mężczyźni nie widzą się w roli ojców. On jest jednym z nich.

Popatrzyła na niego przeciągle, ale nic nie powiedziała. Po chwili znów stuknęła w klawiaturę.

– Skończyłam – oznajmiła po paru minutach.

– Dobrze. – Zamknął swoją skrzynkę i wyszedł z sieci. – Odprowadzę cię do hotelu.

Gdy byli na zewnątrz, Moriah niespodziewanie przystanąła.

– Czy mi się zdaje, czy Claire się na ciebie pogniewała? – zagadnęła.

– Nie miała powodu. W samolocie trochę z nią rozmawiałem, a potem zjedliśmy razem kolację. To wszystko. – Wiedział, że jego oschły ton jest nie na miejscu, ale nie potrafił opanować irytacji.

– Nie umiesz rozstawać się elegancko, prawda?

– zauważyła ze smutnym uśmiechem, i nie czekając, co na to powie, poszła w stronę hotelu.

Touche. Trafiła w jego słaby punkt. Przyspieszył, żeby ją dogonić.

– Przepraszam cię.

– Za co? – Ledwie na niego spojrzała. I nie zwolniła. Mimo kul energicznie posuwała się naprzód, jakby chciała uciec przed nim jak najdalej.

– Za to, co ci zrobiłem w zeszłym roku. – Dławiące poczucie winy sprawiło, że z trudem wydobył z siebie głos.

– Ach, o to ci chodzi. – Doszli do hotelu, więc przystanąła na chwilę i twardo spojrzała mu w oczy.

– Mnie też jest przykro, że tak się stało. Zwłaszcza że dla mnie tamta noc naprawdę wiele znaczyła.

– Moriah... – Poczucie winy stało się wprost nie do zniesienia.

– Przestań! – ucięła. – Po tym, co mi dziś powiedziałeś, zaczynam rozumieć, dlaczego trzymasz ludzi na dystans. Nie psujmy tego, co mamy, Blake. Pozostańmy przyjaciółmi. Dobranoc.

Nie chciał się z nią rozstawać. Nie teraz. Nie w taki sposób. Tyle jeszcze chciał jej powiedzieć, wytłumaczyć. A jednak czuł, że nie ma prawa jej zatrzymywać. Zresztą dla niego też będzie lepiej, jeśli ich drogi ostatecznie się rozejdą. Chwilami ogarniał go lęk, bo coraz częściej myślał o tym, że najchętniej już nigdy by się z nią nie rozstał.

Gdyby stał się cud i Moriah jeszcze raz pozwoliłaby mu się do siebie zbliżyć, być może nie miałby dość wewnętrznej siły, by pozwolić jej odejść.

Moriah patrzyła, jak Blake odwraca się i znika.

Akurat to miał opanowane do perfekcji. Powinna się cieszyć, że wreszcie zniknie z jej życia.

A jednak musiała zagryźć usta, żeby go nie zawołać.

Nagle zobaczyła w nim małego chłopca, który został odesłany do obcych ludzi, choćby krewnych. To doświadczenie z pewnością pozostawiło ślad w jego psychice. Nic dziwnego, że już jako dorosły człowiek stronił od ludzi i nie umiał budować trwałych związków. To smutne odkrycie, zamiast pomóc, tylko pogorszyło jej samopoczucie.

Mimo zmęczenia po długim i pełnym wrażeń dniu nie mogła zasnąć. Najpierw prześladowały ją wspomnienia namiętnej nocy, w czasie której zakochała się w Blake'u. Wizje były tak natrętne i realistyczne, że gdy przymykała oczy, na nowo przeżywała najgorętsze chwile. Dosłownie czuła na swoim rozpalonym ciele zwinne, silne dłonie Blake'a, które dawały niewyobrażalną rozkosz.

Czy ja się nigdy niczego nie nauczę? – westchnęła rozgoryczona. Podstawowa zasada każdej rozsądnej kobiety brzmi: nie bądź naiwna i nie wyobrażaj sobie, że mężczyzna się dla ciebie zmieni.

A ona co? Jeszcze chwila i naprawdę uwierzy, że Blake dla niej stanie się innym człowiekiem. Chyba, nie jest dziś w szczytowej formie. Nie dość, że wpadła w dziurę i skręciła nogę, to prawie zdołała przekonać samą siebie, że jej związek z Blakiem ma przyszłość.

W pracy, jako anestezjolog, była naprawdę dobra. Wiedziała o tym. Za to prywatnie, jako kobieta, musiała się jeszcze sporo nauczyć.

Kiedy wreszcie udało jej się zasnąć, męczyły ją niespokojne, surrealistyczne sny. Najpierw przeżyła inwazję pajaków, a gdy te znikły, w jej pokoju zjawił się Henri i zaczął opowiadać o życiu w domu dziecka. Po chwili chłopiec płynnie przedzierzgnął się w Blake'a, który kompletnie ją ignorował i na jej oczach bezczelnie uwodził jasnowiącą pielęgniarkę. Kiedy zapytała go, dlaczego jej to robi, spokojnie oświadczył, że jej nie kocha, bo ona boi się pajaków.

Nic dziwnego, że po tak ciężkiej nocy obudziła się wyczerpana i rozbita. Głowa bolała ją tak bardzo, że z trudem zwlokła się z łóżka. Najpierw ostrożnie sprawdziła, jak wygląda zwichnięta kostka, i ze zdumieniem stwierdziła, że jest lepiej, niż przypuszczała. Mimo to nie zrezygnowała z kul i pokuśtykała do łazienki. Długi, gorący prysznic skutecznie oczyścił jej umysł z mrocznych wizji. Co za szczęście, że poczciwy Freud od dawna leży w grobie. Pewnie odczułby niemałą satysfakcję, gdyby teraz poddał ją psychoanalizie.

Sytuacja z Blakiem jest beznadziejna, za to Henriemu z łatwością może pomóc. Postanowiła zrobić to jeszcze dziś, dlatego nie zważając na wczesną porę, zadzwoniła do Terrance'a, by zapytać, czy może ją zastąpić podczas porannych zabiegów.

– Nie ma sprawy – mruknął zaspany, gdy zaczęła przeproszać, że budzi go o szóstej rano.
– Zastąpię cię. I tak dziś dyżuruję.

– Wielkie dzięki. Masz u mnie kolejkę.

– Trzymam cię za słowo.

– Powiedz tylko kiedy – powiedziała ze śmiechem. Gdy odkładała słuchawkę, w jej głowie kołatało się jedno pytanie: dlaczego nie zainteresuje się takim facetem jak Terrance, miłym, przystojnym, i co najważniejsze, bez alergii na rodzinę? Właśnie, rodzina...

Podczas bezsennej nocy parę razy przemknęło jej przez myśl, że w zamian za miłość

Blake'a mogłaby z niej zrezygnować.

Zamarła, porażona absurdalnością tej myśli. Nie, z rodziny nie zrezygnuje na pewno. To byłoby dla niej zbyt wielkie wyrzeczenie.

Szkoda czasu na gdybanie. Co dobrego może wyniknąć z tego, że będzie bezustannie powtarzała: „Gdyby Blake był inny”? Nie ma sensu myśleć o niepewnej przyszłości, gdy tak wiele trzeba zrobić. Blake jej nie kocha, za to Henri czeka na pomoc. I ona zrobi wszystko, żeby tę pomoc otrzymał.

Uzyskanie zgody na operację zajęło więcej czasu, niż sądziła. Na szczęście po licznych telefonach i rozmowach z różnymi ważnymi osobami siostra Rita wystawiła stosowny dokument.

– Henri to takie kochane dziecko. – Zakonnica wprost nie mogła się go nachwalić. – Bardzo mi pomaga, opiekuje się młodszymi dziećmi. Naprawdę ma złote serce. Niech pani kiedyś przyjdzie go odwiedzić. Na pewno bardzo się ucieszy.

– Przyjdę na pewno – obiecała. Zadowolona z wyniku swojej misji pospiesznie wróciła do szpitala. Robiło się późno, a ona nie chciała nadużywać uprzejmości Terrance'a. Umyła się szybko, przebrała i udała na blok operacyjny. Ledwie weszła do sali, zorientowała się, że Blake jest w wyjątkowo złym humorze. Minę miał marsową i był spięty.

– Co mi pani tu przyniosła? – zbeształ instrumentariuszkę, która przez pomyłkę podała mu nie to, o co prosił. Biedna dziewczyna pobiegła co tchu po tacę z właściwymi instrumentami.

Moriah była w szoku. Takie zachowanie zupełnie do niego nie pasowało. A według Moriah było po prostu niedopuszczalne. Coraz bardziej zdumiona, posłała mu spojrzenie pełne nagany. On jednak zignorował ją i pochylił się nad pacjentem, siedemnastoletnim chłopakiem, który miał poparzoną lewą stronę ciała.

Moriah usiadła na swoim miejscu i szybko spojrzała na aparaturę.

– Parametry życiowe w normie. Częstotliwość uderzeń serca osiemdziesiąt dwa, ciśnienie sto sześć na siedemdziesiąt, puls sto. Nasz Sebastian ma się zupełnie dobrze.

– I całe jego szczęście, bo już mamy spore opóźnienie – stwierdził Blake sucho, nie kryjąc niezadowolenia. – Dzięki, że znikłaś bez uprzedzenia – rzucił cierpko.

– Wcale nie znikłam. Miałam coś do załatwienia. Poza tym zastąpił mnie Terrance.

– Taak, my też tu mieliśmy sporo do załatwienia.

– Czy sugerujesz, że życie i zdrowie Sebastiana było zagrożone, bo zamiast mnie do operacji znieczulał go Terrance? – Nie zamierzała spokojnie słuchać bezsensownych oskarżeń.

Blake się nie odzywał; pewnie zdał sobie sprawę, że się wygłupił.

– Jak skończymy, chciałabym z tobą porozmawiać o harmonogramie zabiegów – powiedziała spokojnie. – Zdobyłam dziś zgodę na operację Henriego.

– Mhm. – Nawet nie podniósł na nią wzroku. Sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego pracą.

Nie naciskała, by jej natychmiast odpowiedział.

Będą mieli czas na ustalenie szczegółów. Próbowwała zmienić temat, żeby przestał się

złościć. Zresztą i tak wiedziała, kiedy powinni operować Henriego. Siostra Rita wyraziła wprawdzie zgodę na operację, ale od razu zaznaczyła, że nie będzie miała czasu opiekować się chłopcem w czasie rekonwalescencji.

– Niech się siostra nie martwi. Zajmę się nim – zapewniła ją Moriah.

Ponieważ wolne miała mieć w poniedziałek, operacja musi odbyć się w niedzielę wieczorem. Miała nadzieję, że Blake nie będzie miał nic przeciwko temu. Ten, którego dotąd знаła, na pewno by nie miał.

– Proszę mi poświecić – poprosił pielęgniarkę. – Tak żebym dobrze widział, gdzie jest tętnica.

– Parametry w normie – poinformowała go Moriah.

– Dobrze – odparł i pochylił się, żeby wykonać cięcie. Naraz w sali zgasło światło.

Wszyscy zamarli, a w pomieszczeniu zapadła martwa cisza.

– Co jest, do jasnej cholery! – zdenerwował się Blake.

W pozbawionej okien sali panowała absolutna ciemność. Moriah po omacku odnalazła przenośną butlę tlenową i zaczęła ręcznie pompować powietrze do płuc Sebastiana.

– Niech to jasny szlag! Na co oni czekają? Dlaczego nie uruchamiają generatora? – zżymał się Blake.

– Bo pewnie go nie mają – powiedziała spokojnie. – Za chwilę włączą światło.

– Oby! Chryste, przecież właśnie wbijałem skalpel w rękę tego dzieciaka! – Blake już nawet nie próbował ukryć frustracji.

W tym momencie zapaliło się światło, tak samo nagle jak zgasło. Salę natychmiast wypełnił charakterystyczny szum urządzeń. Moriah zerknęła na zegar i sprawdziła, że prądu nie było przez trzy i pół minuty. Jedne z najdłuższych w jej życiu. Nareszcie mogła odetchnąć.

Uczucie ulgi nie trwało długo. Znikło w chwili, gdy zorientowała się, że stan Sebastiana bardzo się pogorszył.

– Blake, ciśnienie spadło do siedemdziesięciu dwóch w czasie skurczu, puls też spada. Coś się musiało stać. Zaraz go stracimy!

– Strasznie krwawi. Chyba naciąłem mu tętnicę.

– Nerwowy ton Blake’a potwierdził jej najgorsze obawy. – Dajcie ssak. Cholera, muszę sprawdzić, czy da się to zszyć.

– Trzeba mu zrobić transfuzję. Jaką ma grupę?

– Moriah szybko przejrzała dokumentację. – AB Rh minus? Mamy w magazynie taką krew? – zapytała z obawą.

– Już sprawdzam! – Pielęgniarka natychmiast wybiegła z sali.

– Udało mi się zatamować krwotok, ale chłopak stracił co najmniej litr krwi. – W oczach Blake’a był niepokój. – Jeśli się okaże, że nie mamy dość krwi, trzeba będzie poszukać dawców wśród personelu.

– Nie ma sprawy. Ja mam O Rh minus. Pójdę na pierwszy ogień – powiedziała.

– Zaczekajmy z tym. Będiesz mi tu potrzebna. Poza tym lepiej, żeby dostał AB minus.

– Wątpię, żeby udało się znaleźć kogoś z taką grupą krwi – stwierdziła.

– Wiem – przyznał.

Ledwie to powiedział, do sali wróciła pielęgniarka, niosąc jeden woreczek z krwią.

– W magazynie w ogóle nie ma AB Rh minus – oświadczyła. – Przyniosłam o Rh.

– Jedna dawka to za mało. – Moriah natychmiast zawiesiła woreczek i podłączyła do wenflonu. – Czy wśród personelu jest ktoś, kto ma odpowiednią grupę?

– Nie. Już pytałam – odparła pielęgniarka.

– Dobrze. Proszę wezwać doktora Terrance'a. Musi mnie tu zastąpić. Idę oddać krew.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Blake podziwiał spokój i precyzję, z jaką Moriah przekazała Terrance'owi Withneyowi niezbędne informacje i nie tracąc ani jednej cennej minuty, opuściła salę.

Czuł się winny, że przez niego musi oddawać krew. Niestety, pokpił sprawę. Był niemal pewny, że kiedy zgasło światło, nie drgnęła mu ręka. A jednak musiało tak się stać, skoro przeciął chłopakowi tętnicę.

Przytłoczony wyrzutami sumienia, spojrzął na rozciętą tkankę. O tętnicę nie musiał się już martwić, bo po zszyciu przestała krwawić, ale czeka go jeszcze usunięcie przykurczu. Sięgnął po szczypcę, ale z przerażeniem spostrzegł, że drżą mu ręce. Klnąc pod nosem, odłożył narzędzie na tacę. Niewiele brakowało, a cisnąłby nią o ścianę.

– Podasz mi bieżące parametry? – zwrócił się ostro do Terrance'a. Sytuacja była naprawdę poważna, wołałby więc, by anestezjolog sam pamiętał o swoich obowiązkach.

Gdy po chwili usłyszał podstawowe informacje, nie był zachwycony.

– Dałeś mu już całą krew?

– Tak.

Niedobrze. Liczył na to, że już po pierwszej dawce stan Sebastiana znacząco się poprawi.

– Masz zimną plazmę? Podaj mu ją, zanim dostaniemy następną dawkę krwi.

– Słuchaj, Powers. Ty mi tu nie mów, co mam robić, boja się znam na swojej robocie. Już dostał plazmę, a jak będzie trzeba, dostanie jeszcze raz – odparł zirytowany Terrance.

Blake powstrzymał się od ciętej riposty. To nie był odpowiedni moment na niepotrzebne dyskusje. Poza tym zdawał sobie sprawę, że chciał zrobić z Terrance'a kozła ofiarnego. A przecież anestezjolog nie był winny temu, że od rana miał fatalny humor. Kiedy Moriah nie przyszła na pierwszy zabieg, po prostu spanikował.

Nie myśl o tym teraz, nakazał sobie surowo. Kilka razy energicznie zgiął i rozprostował palce, starając się rozluźnić napięte mięśnie. Odetchnął głęboko i jeszcze raz sięgnął po szczypcę. Tym razem rękę miał pewną.

– Przyniosłam krew pobraną od doktor Howe. Pielęgniarka podała Terrance'owi woreczek, a on natychmiast zawiesił go na wieszaku kroplówki i zwolnił zacisk. Potem obserwował go kątem oka. Blake dziwnie się czuł, wiedząc, że krew jeszcze przed chwilą płynęła w żyłach Moriah.

– Ciśnienie rośnie, spada puls. Poprawia się utlenienie krwi – poinformował go Terrance.

– Świetnie. Kończmy ten nieszczęsny zabieg – mruknął, zadowolony, że stan pacjenta się poprawia. Wszystko wskazywało na to, że chłopak z tego wyjdzie, a przecież jego błąd mógł kosztować go życie.

– Podaję mu sterydy, żeby zniwelować ewentualne skutki konfliktu serologicznego w głównych grupach.

– Terrance bez przypominania informował go na bieżąco, co robi.

Właśnie wtedy do sali wróciła Moriah.

– Jak Sebastian? – zapytała niespokojnie.

– Lepiej. Dzięki twojej krwi jego stan się ustabilizował. Zresztą sama zobacz. – Terrance podał jej zapiski.

– Dzięki Bogu – westchnęła.

Blake zerknął w jej stronę. Wprawdzie widział tylko fragment jej twarzy, ale zdawało mu się, że jest blada.

– Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć.

– Nic mi nie jest – odparła lekkim tonem. – Dziękuję, że mnie zastąpiłeś – dodała, zwracając się do Terrance’a.

– Polecam się na przyszłość.

Blake skupił całą uwagę na wymagającym niesłychanej precyzji zabiegu ponownego przymocowania ścięgna. Powinien odczuwać ulgę, że kryzys został opanowany, ale nie opuszczało go przygnębienie. Wciąż widział jasnoczerwoną krew tryskającą z przeciętej tętnicy. Gdyby światła nie było jeszcze przez minutę czy dwie... Nie, lepiej, żeby nawet nie myślał, co mogłoby się stać.

Operacja Sebastiana była ostatnim zabiegiem zaplanowanym na ten dzień. Gdy wreszcie się skończyła, Blake z ulgą poszedł do szatni. Potem zajrzał na blok pooperacyjny. Dopiero kiedy upewnił się, że stan chłopca jest stabilny, poszedł do kafeterii. Nie czuł się głodny, ale z rozsądku przełknął parę kęsów.

Przez cały czas rozpamiętywał nieszczęśliwe zdarzenie, w końcu nie pierwsze w jego karierze.

Poprzednio główny ciężar winy spoczywał na barkach nierozsądnego anestezjologa, który złamał podstawową zasadę medycyny, nakazującą patrzeć na pacjenta jak na niesłuchanie skomplikowaną całość.

Tym razem sprawa była jasna: to on trzymał skalpel, więc cała odpowiedzialność spada na niego. Ręka chirurga nie ma prawa drgnąć nawet wtedy, gdy niespodziewanie gaśnie światło.

Blake odsunął od siebie tacę z niedokończonym posiłkiem i ciężko wstał z miejsca. Mógł już pójść do domu, ale postanowił jeszcze raz zajrzeć do Sebastiana. Przy łóżku śpiącego chłopca nie było nikogo z rodziny, więc przysunął sobie krzesło i długo wpatrywał się w jego spokojną twarz.

– Blake?

Drgnął, słysząc cichy głos Moriah. Widocznie się zdrzemnął, skoro nie słyszał, jak weszła. Zerknął na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że przesiedział przy Sebastianie równą godzinę.

– Tak? – mruknął.

– Późno już. Wracaj do hotelu. Musisz odpocząć. – Mówiła spokojnie, ale widać było, że martwi się o niego.

Ma rację, powinien odpocząć. Jednak nie mógł zmusić się, by odejść. Zwłaszcza że przy chłopcu nie było nikogo z bliskich.

– Nie chcę zostawiać go samego – powiedział cicho.

– Jego matka czeka na korytarzu. Nie wchodziła, żeby cię nie budzić.

– Naprawdę?! – Zażenowany, natychmiast wstał i wyszedł za nią z sali. Siedząca na korytarzu kobieta w średnim wieku tylko na to czekała; energicznie poderwała się z miejsca, i uśmiechnąwszy się do nich, pobięła do syna.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Moriah, gdy przez szpitalne korytarze szli do wyjścia.

– Tak – odparł krótko. Nie miał ochoty rozmawiać o tym, co się stało. Wciąż czuł się rozdrażniony, zresztą nie tylko z powodu Sebastiana. Każdym nerwem odbierał bliskość Moriah, wrywał się do niej całym sobą. Tymczasem ona zdawała się nie dostrzegać jego wewnętrznej walki.

– Jak już mówiłam, chciałabym porozmawiać z tobą o planie zabiegów. Musimy wygospodarować miejsce dla Henriego.

– Nie ma problemu. Nie zajmie nam to wiele czasu, więc zoperuję go pomiędzy dwoma planowymi operacjami.

– Zależy mi na tym, żebyśmy zrobili to w niedzielę – wyznała i szybko wyjaśniła dlaczego.

– Chwileczkę. Mówisz, że jego matka nie żyje?

– Zaskoczony Blake przystanął na środku ulicy. – Jak się o tym dowiedziałas?

– Przypadkiem. Spotkałam Henriego na ulicy, gdy razem z kolegami z sierocińca wsiadł do autobusu. Przepraszam, zapomniałam ci o tym powiedzieć.

– Biedny dzieciak. – Blake’a ogarnęło szczerze współczucie. W jakimś sensie utożsamiał się z Henrim, bo przez pewien czas sam czuł się tak, jakby był sierotą. A przecież miał ciotkę i wuja. Henri nie miał nikogo. – Kto w takim razie wydał zgodę na operację?

– Siostra Rita, dyrektorka sierocińca. Byłam u niej dziś rano i dostałam potrzebne dokumenty.

Co za przekłety dzień! – jęknął w duchu. Egoistycznie podejrzewał, że Moriah opuściła poranne zabiegi, żeby się z nim nie spotkać. Tymczasem ona szukała pomocy dla Henriego.

– To co? Zgodzisz się operować go w niedzielę? – spytała z nadzieją.

– Tak. – Jeśli do tej pory miał jakieś wątpliwości, już się ich pozbył.

– Dziękuję! – powiedziała z ulgą. Spodziewał się wyrazów wdzięczności, ale zupełnie nie był przygotowany na to, że zarzuci mu ręce na szyję i zacznie go całować.

W pierwszym odruchu chciał ją przytulić, ale nagle zdał sobie sprawę, że właśnie takich gestów robić mu nie wolno. Zaledwie krok dzielił go od tego, by podobnie jak przed rokiem wykorzystać jej słabość. I znów ją skrzywdzić. Czy już nigdy niczego się nie nauczy?

Zdecydowanym ruchem oswobodził się z jej objęć.

– Pójdę już. Trzymaj się! – rzucił obojętnie, umykając wzrokiem przed jej spojrzeniem. Potrzebował całej siły woli, żeby odwrócić się od niej i odejść.

– Blake! Proszę cię, zaczekaj!

Nie zareagował. Niewzruszony szedł przed siebie, a każdy kolejny krok sprawiał mu taki ból, jakby ktoś dźgał go nożem.

Potknęła się i uraziła bolącą nogę. Wszystko przez łyzy, które uparcie cisnęły się jej do oczu. Wytarła je rękawem i wyprostowała plecy. Nie pojmowała, dlaczego pozwala, by Blake doprowadzał ją do hysterii. Pogodziła się z tym, że dopóki są w Peru, nie zdoła się od niego

uwolnić. Za to po powrocie do Stanów zrobi wszystko, żeby już nigdy więcej go nie spotkać. Skoro nie pomogła zmiana pracy, przeniesie się do innego stanu, najlepiej gdzieś na południe.

Tylko że wtedy będzie daleko od rodziny.

Wściekłość uleciała z niej jak powietrze z przekłutego balonika. Co to, to nie, powiedziała sobie twardo. Tego tylko brakowało, żeby przez niego rozstała się z najbliższymi, którzy przecież są jej opoką. Zwłaszcza Melanie, dwa lata starsza siostra, która rozumiała ją jak nikt inny. Ona jedna wiedziała o zeszłorocznej przygodzie z Blakiem. Moriah żałowała, że siostry z nią tu nie ma.

W drodze do hotelu zdołała okiełznać rozhuśtane emocje. Zdawała sobie sprawę, że bez Blake'a będzie jej lepiej niż z nim, ale było jej go żal. Jak każdego, kto jest ułomny. Bo czym jeśli nie emocjonalną ułomnością jest jego ucieczka w samotność i lęk przed uczuciowym zaangażowaniem?

Zresztą, co mnie to obchodzi? – westchnęła, kładąc się do łóżka. Chce być sam, jego sprawa.

Wczesnym rankiem obudził ją silny ból brzucha. Zgięta w pół, z trudem dowlokła się do łazienki. Nie miała pojęcia, skąd nagle te nudności i rozstrój żołądka. Po dwóch tygodniach w Peru powinna uodpornić się na miejscową florę bakteryjną.

Skrećając się z bólu, zaczęła przypominać sobie, co robiła poprzedniego dnia. Dopóki nie oddała krwi, czuła się doskonale. Dopiero potem osłabła i dostała zawrotów głowy, ale stało się tak dlatego, że krew została pobrana zbyt szybko. Nie miała pretensji do kolegów z ambulatorium: pośpiech był wskazany, bo życie Sebastiana wisiało na włosku. Przypomniała sobie, że w pewnej chwili zrobiło jej się słabo. Wtedy jedna z pielęgniarek podała jej szklanek wody. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że Peruwianka wlała tę wodę z plastikowej butelki, a nie ze szpitalnego dystrybutora. Pewnie przyniosła ją z domu, co by wyjaśniało, dlaczego Moriah zachorowała.

Po godzinie spędzonej w łazience wiedziała, że nie nadaje się do pracy. Chciała zadzwonić i uprzedzić, że nie przyjdzie, ale zanim sięgnęła po telefon, dostała tak silnych boleści, że ledwie doczołgała się do łóżka.

Nie miała pojęcia, ile czasu w nim przeleżała. W pewnej chwili zdawało jej się, że ktoś dobija się do drzwi, nie miała jednak siły wstać, by otworzyć. Gdzieś z tyłu obolałej głowy kołotało się pragnienie, by osobą, która jej szuka, okazał się Blake.

Łomotnie ucichło, za to ona znów dostała mdłości i musiała biec do łazienki.

– Moriah? Co się z tobą dzieje? Otwieraj albo wyważę drzwi! – Donośny głos docierał z bardzo bliska. Zupełnie jakby Blake stał za drzwiami.

– Jestem chora – szepnęła ledwie słyszalnym głosem.

Energicznie pchnięte drzwi otworzyły się na całą szerokość.

– Na litość boską, co ci się stało? – Prerażony ukląkł obok niej na podłodze.

– Napiałam się nieodkazanej wody – jęknęła. Powinno być jej strasznie wstyd, że Blake widzi ją w tak krępującej sytuacji, ale nawet nie miała siły się tym przejąć. – Nie jestem w stanie pracować. Ktoś musi mnie zastąpić.

– Nie martw się, to już załatwione – uspokoił ją. – Pomóc ci dojść do łóżka?

– Tak.

Zmoczył ręcznik w zimnej wodzie i troskliwie wytarł jej spoconą twarz i rękę. Widać było, że przyniosło jej to ulgę, więc jeszcze raz zmoczył ręcznik i położył na jej karku.

– Tak mi przykro, że przeze mnie będziemy mieli opóźnienie – szepnęła, gdy ostrożnie prowadził ją do łóżka.

– Nie myśl teraz o pracy. – Przyglądał jej potargane włosy, a ona wyobraziła sobie, że całuje ją w czoło. – Połóż się i odpoczywaj. Ja się wszystkim zajmę.

Wierzyła mu. Z ulgą przymknęła oczy, pewna, że może spać spokojnie, bo on naprawdę wszystkim się zajmie.

Obiecała sobie, że jak tylko wyzdrowieje, przeprowadzi z nim poważną rozmowę. Powie mu, że jeśli nadal będzie zrażał do siebie ludzi, z czasem zniszczy go własna samotność.

Kiedy się obudziła, pokój tonął w mroku. Mimo to natychmiast wyczuła czyjąś obecność. Obok niej leżał jakiś mężczyzna. Blake! Widocznie był z nią przez cały dzień i w końcu ze zmęczenia zasnął.

Miała ochotę przytulić się do niego, ale tego nie zrobiła. Przez chwilę leżała spokojnie, czekając, jak zareaguje jej organizm. Na szczęście ból żołądka minął, wstała więc ostrożnie i poszła do łazienki. Jej stan poprawił się na tyle, że mogła wziąć prysznic. Gdy po kilku minutach wracała do pokoju otulona miękkim szlafrokiem, czuła się jak nowo narodzona. Podeszła do łóżka na palcach, żeby nie obudzić Blake'a. On jednak już nie spał.

– Cześć – powiedział cicho, unosząc się na łokciu. Uśmiechnęła się i spojrzała na niego z czułością.

Wspaniale wyglądał, ciepły, męski, silny.

– Cześć. Przykro mi, że cię obudziłam.

– A mnie nie. Cieszę się, że lepiej się czujesz. Patrzyła na jego zasną twarz i potargane włosy, i mimo woli zaczęła przypominać sobie podobną sytuację sprzed roku. Świadomość, że znów śpią w jednym pokoju, że spotykają się w sytuacji intymnej, wytrąciła ją z równowagi. Zaskoczyła ją siła własnych pragnień. Myślała tylko o tym, by położyć się obok niego, poczuć jego zapach i znów stracić głowę. Nagle zrobiła niepewny krok w jego stronę. Natychmiast przestał się uśmiechać i poderwał się, gotów błyskawicznie wyskoczyć z łóżka.

– Pójdę już.

– Nie idź. – Wyciągnęła rękę w jego stronę. – Proszę cię, nie odchodź.

– Muszę – odparł zduszonym głosem. – Naprawdę nie chcę cię skrzywdzić. Nie chcę, żeby powtórzyło się to, co w zeszłym roku.

Iskierka nadziei obudziła się w niej i w jednej chwili zgasła. Nagle olśniło ją, że właściwie jest jej wszystko jedno. Wcale nie chce być rozsądna. Bez względu na to, co się między nimi wydarzyło, nadal zależy jej na Blake'u. Pewnie jest głupia i naiwna, ale trudno. Pragnie go najbardziej na świecie i łatwo go nie wypuści.

Wolno rozwiązała pasek i rozsunęła poły szlafroka.

– Nie skrzywdzisz mnie. Daję słowo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Uspokój się! Proszę cię, zaczekaj! – Gorączkowo szukał sposobu, by ją powstrzymać. Bał się, że za chwilę przestanie nad sobą panować i znowu skrzywdzi nie tylko ją, ale i siebie.

– Posłuchaj... Mówiłaś, że ułożyłaś sobie życie. Masz kogoś?

– W tej chwili nie. – Zsunęła z ramion szlafrok, kusocielsko odsłaniając jedwabieście gładką skórę.

– Ale... – I co teraz? W głowie miał pustkę, a Moriah była coraz bliżej. – Przestań! Nie masz pojęcia, co się ze mną dzieje!

– Chyba się domyślam... – Z premedytacją przeczeswała palcami wilgotne włosy. – Mam na ciebie ochotę, Blake. I chyba się nie pomylę, jeśli powiem, że ty masz ochotę na mnie.

Stłumił gardłowy jęk. Muszę stąd wyjść, natychmiast! Zanim będzie za późno, powtarzał spanikowany.

Nawet nie drgnął. Już jest za późno.

– Moriah... – Nic więcej nie był w stanie powiedzieć. Zabrzmiało to jak błaganie o litość.

– Słucham? – Przysiadła na brzegu łóżka, tuż obok niego. Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy, a potem położyła dłonie na jego piersi.

To wystarczyło, by przegrał wewnętrzną walkę. Nie miał w sobie dość siły, żeby ją odepchnąć.

– Chodź tutaj! – Jednym ruchem przyciągnął ją do siebie i przewrócił na łóżko. Już po pierwszym pocałunku bez trudu się rozgrzeszył. Tym razem jej nie skrzywdzi, po przeciw jasno i wyraźnie powiedział, czego oczekuje. Niczego nie udawał, nie obiecywał. A skoro i tak nie może przestać jej pożądać, to do diabła z wyrzutami sumienia!

– Blake...

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – Uniósł się na łokciu i spojrzał jej w oczy.

– Bardzo cię pragnę. – Przyciągnęła go do siebie. – Proszę cię, nie odchodź.

– Nie odejdę. – Przynajmniej jeszcze nie teraz, odrzekł w myślach. Prędzej czy później będzie musiał to zrobić, lecz na razie chciał czerpać rozkosz pełnymi garściami.

Po pierwszych pocałunkach i pieszczotach uzmysłowił sobie, że wciąż doskonale pamięta smak i zapach Moriah, a także jej zwinne ciało, którym nie mógł się nasycić. Kochał się z nią tak, jakby chciał powitać każdy skrawek jej skóry, piersi, ramion, brzucha. Kiedy w nią wszedł, miał wrażenie, jakby po długiej wędrówce powrócił do swego miejsca na ziemi. Dom. Śmieszne, że odnalazł go na końcu świata, w sercu peruwiańskiej pustyni. Nie zapomniał Moriah, i nigdy nie zapomni. Był tego pewny.

Leżała bez ruchu, czekając, aż uspokoi się przyspieszony oddech i miną dreszcze, wspomnienie niedawnych uniesień. Obok siebie czuła rozpalone ciało Blake'a. Jego ręka rozkosznie ciążyła jej na brzuchu, ciepły oddech łaskotał w szyję. Uśmiechnęła się sennie. O tak. Wreszcie dostała to, o czym od dawna marzyła.

Nagle drgnęła, gdyż Blake niespodziewanie przesunął palcami po jej boku. Jego

najłżejszy dotyk wystarczył, by przebiegł ją miły dreszcz.

– Pragnę cię – szepnął jej do ucha.

– A mnie się zdawało, że dopiero co zaspokoiliś swoje pragnienia – odparła żartobliwie.

– I co z tego? Kiedy ze mną jesteś, nigdy nie mam dość. Mógłbym się z tobą kochać non stop – wyznał.

Nie obiecywała sobie zbyt wiele po tych słowach, bo wiedziała, że zostały wypowiedziane pod wpływem chwili. Nie broniła się jednak przed pieszczotami. Wręcz przeciwnie, poddawała się gorącym pocałunkom, którymi Blake zasypywał jej piersi i szyję. Kiedy wsunął kolano między jej uda, rozsunała je, by mógł w nią wejść. On jednak pociągnął ją ku górze i posadziwszy na sobie, zaczął rytmicznie unosić biodra. Po chwili przez jej rozpalone ciało przetoczyła się fala obezwładniającej rozkoszy.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, zanim jednym okiem zerknęła na zegarek. Nieźle. Jak dotąd Blake nie próbował wymknąć się cichaczem z jej łóżka.

– Nie masz dziś obchodu? – zapytała, przeciągając się leniwie.

– Nie. George mnie zastępuje – mruknął sennie, bawiąc się pasmem jej włosów. – Umówiliśmy się, że przyjdę na pierwszy zabieg, o wpół do ósmej.

– Już ósma – powiedziała, tuląc się do niego.

– Co? – Poderwał się tak energicznie, że omal nie zepchnął jej z łóżka. – Cholera, zasnęłam! Muszę lecieć do szpitala.

– Mhm. – Ułożyła się wygodnie i zaczęła masować głowę w miejscu, gdzie przed chwilą uderzył ją łokciem.

– Przepraszam. – Pocałował ją najpierw w to miejsce, potem w policzek i wreszcie w usta. – Naprawdę muszę się zbierać – westchnął z zalem.

– Wiem. – Wewnętrznie ogrzana jego pocałunkami, cieszyła się krótką chwilą szczęścia. Za moment też musiała wstać i pójść do pracy.

Poszła do łazienki jako druga. Kiedy wróciła do pokoju, Blake'a już nie było. Nagle poczuła nieprzyjemny ucisk w krtani. Blake się nie zmienił. Nie powinna o tym zapominać.

W drodze do szpitala myślała o tym, że tego wieczoru lub najdalej jutro musi zabrać Henriego z sierocińca, tak by zdążyli przygotować go do niedzielnej operacji. Nie widziała go od paru dni i była ciekawa, jak się miewa. Siostra Rita zapewniała ją, że przywykł już do nowych warunków życia i odnalazł swoje miejsce wśród małych mieszkańców sierocińca. Nie pozostało jej nic innego, jak w to uwierzyć.

Zespół Blake'a operował tego dnia kilkoro pacjentów. Jako pierwsza trafiła na stół pięcioletnia dziewczynka z rozszczepem podniebienia i górnej wargi. Kiedy Moriah weszła do sali, zabieg już trwał, a zastępujący ją Terrance posłusznie recytował informacje o stanie dziewczynki.

Moriah uśmiechnęła się do siebie. Jej kolega szybko się nauczył, jak zadowolić Blake'a.

– Już jestem – szepnęła, delikatnie trącając Terrance'a łokciem.

– Jak się czujesz? – Przyjrzał jej się bacznie. – Widzę, że chodzisz bez kul – zauważył, wstając z miejsca.

– Tak, noga prawie zupełnie przestała mnie boleć. Znieczuliłaś wczoraj moich pacjentów?

– Mhm.

– Dzięki. Wiedziałam, że z ciebie solidna firma.

– Bez przesady, nie byłem całkiem bezinteresowny – uśmiechnął się. – Obiecałaś, że się zrewanżujesz...

– Obiecanki cacanki! – Moriah podejrzewała, że nie będzie już miała czasu, by wywiązać się z obietnicy. – A jak sytuacja tutaj?

– W porządku. Wszystko idzie zgodnie z planem. Nie musieliśmy odwoływać żadnego zabiegu.

– Dzięki Bogu. Nie przeżyłabym, gdyby z mojego powodu trzeba było zrezygnować z którejś operacji. Czy George dopisał jeszcze kogoś do listy rezerwowej? – zapytała, pamiętając, że w zeszłym roku do końca przyjmowali nowych pacjentów.

– Poza Henrim, nie – odparł Terrance – ale wiem, że oglądał ostatnio parę osób.

Pierwsza operacja zakończyła się bez żadnych niespodzianek. Dwaj kolejni pacjenci też nie sprawili większych problemów. Dopiero ostatni tego dnia przypadek zmusił zespół Blake'a do długiej i intensywnej pracy. Mężczyzna, którego operowali, miał mocno poparzoną twarz, dlatego musieli zrobić mu przeszczep. Usuwanie blizn i przyszywanie płata skóry w miejsce zniszczonej tkanki trwało kilka godzin. Moriah była wdzięczna opatrności, że ich pacjent jest mężczyzną w pełni sił, a Blake wytrzymuje trudy długiego i żmudnego zabiegu, nie będąc przykrym dla otoczenia.

– Mam go już wybudzać? – zapytała, gdy zbliżali się do końca.

– Jeszcze nie. Nie podoba mi się ten przeszczep. Być może będę musiał go wymienić – odparł, przyglądając się uważnie płatowi skóry. Co kilka minut naciskał go, by sprawdzić, czy zbieleje i po jakim czasie odzyska naturalne zabarwienie. Nakłuwał go też igłą i patrzył, czy pojawi się krew.

– Przydałoby się parę pijawek – westchnął.

– Jestem pewna, że występują w Peru, ale wątpię, żeby były sterylne – zażartowała, robiąc aluzję do metody wykorzystywanej czasem w Stanach, gdzie w chirurgii używa się pijawek ze specjalnych hodowli. Ich zadaniem jest odsysanie krwi zbierającej się pod przeszczepem, dzięki czemu zmniejsza się ryzyko infekcji i rośnie szansa, że przeszczep się przyjmie. – Mam wysłać kogoś nad rzekę? – zapytała pół żartem, pół serio. Nie nadmieniła, że sama w żadnym wypadku nie podejmie się tej misji.

– Może warto by spróbować – zastanowił się głośno Blake. – Jeśli wda się infekcja, trzeba będzie jeszcze raz operować.

– To jak z tymi pijawkami?

– Jeszcze się wstrzymajmy. Możesz go już wybudzać.

Parę minut później odwiozła mężczyznę na oddział pooperacyjny.

– Nie sądziłam, że pracowaliśmy tak długo – zdumiała się, patrząc na ścienny zegar.

– Cieszę się, że to już koniec – przyznała Greta.

– Ja też.

– Jak przeszczep? – zapytał Blake, wchodząc do sali.

Moriah lekko nacisnęła skórę.

– Bez zmian. Nie ma jeszcze normalnego koloru, ale bieleje, gdy się naciśnie.

– W porządku – orzekł Blake. – Zostanę przy nim, sprawdzę, czy dreny dobrze odprowadzają krew.

– Jasne. – Moriah starała się ukryć rozczarowanie. Przyszło jej do głowy, że Blake może szukać wymówki, by się od niej uwolnić. Z drugiej strony wiedziała, że bezpośrednio po operacji często zostaje z pacjentami. W tym przypadku jego obecność na oddziale pooperacyjnym była o tyle uzasadniona, że lokalne przepisy nie wymagały, żeby pielęgniarki co kwadrans sprawdzały stan przeszczepu. Zresztą nawet gdyby to robiły, Blake i tak chciałby wszystkiego sam dopilnować. – Chcesz, żebym z tobą została?

– Nie, nie ma sensu, żebyśmy siedzieli tu oboje.

– Blake, który właśnie zajął miejsce przy łóżku pacjenta, ledwie na nią spojrział. – Niedawno byłaś chora, musisz wypocząć.

– Tobie też przydałby się odpoczynek – zauważyła. Próbowała odgadnąć jego prawdziwe intencje. Czyżby żałował, że został z nią na noc? A może szukał sposobu, by się jej delikatnie pozbyć? Nie musiał zadawać sobie tyle trudu. Nie okłamała go, mówiąc, że tym razem jej nie skrzywdzi. Odwrotnie niż w zeszłym roku, poszła z nim do łóżka świadoma, że nie ma co liczyć na stały związek.

– Nie martw się o mnie. Nie czuję się zmęczony – rzucił krótko.

A więc remis. Obydwoje czują się świetnie. Zrozumiała aluzję.

– Fajnie. Dobranoc, Blake.

Kiedy wychodziła, czuła na sobie jego wzrok. Czego się spodziewał? Że będzie mu się narzucała? Zrobi scenę albo, nie daj Boże, zacznie płakać? Stojąc w progu, zawahała się i szybko spojrziała za siebie.

Blake pochylał się nad pacjentem, oglądając z bliska przeszczep. Po cichu zamknęła drzwi i ruszyła korytarzem. Po drodze powtarzała sobie, że teraz już nie będzie taka naiwna.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Znów kiepsko spała. Tym razem z powodu zapachu. Pościel, a zwłaszcza poduszki, tak intensywnie pachniały Blakiem, że z tęsknoty aż ją rozboleła głowa. Mimo niewyspania wstała wcześniej i zamówiła taksówkę, która miała zabrać ją do sierocińca.

Właśnie miała wychodzić z hotelu, kiedy w lobby zjawił się Blake.

– Dokąd się wybierasz?

– Jadę po Henriego.

– Pojadę z tobą.

Zaskoczona wzruszyła ramionami.

– Będzie mi miło... A nie wolałbyś się wypaść? – zapytała, choć Blake wcale nie wyglądał na niewyspanego.

– Nie. Udało mi się trochę zdrzemnąć.

Z hotelu wyszli wprost na załaną słońcem ulicę, przy której już stała taksówka. Wysoki, szczupły kierowca wysiadł i czekał oparty o samochód.

– Nie... To ten sam facet, który wioził nas do szpitala – stwierdził zaskoczony Blake.

– Zgadza się. – Moriah uśmiechnęła się do kierowcy. – Dzień dobry, Bernardo. Miło znów pana widzieć.

– *Sehorita*. – Taksówkarz lekko się uklonił, otwierając im drzwi.

Kiedy usiedli obok siebie na tylnym siedzeniu, zapadła nienaturalnie długa cisza. Moriah właśnie zaczynała się obawiać, że czeka ich wyjątkowo nieprzyjemna podróż, gdy Blake niespodziewanie oznajmił:

– Pewnie uważasz, że powinienem wiedzieć, jak on się nazywa?

Owszem, właśnie tak uważała, ale nie zamierzała mówić tego wprost. Nie chciała go urazić.

– Wiesz, Blake, jako lekarz masz doskonały kontakt z pacjentami i ich bliskimi, za to prywatnie odnosisz się do ludzi z ogromną rezerwą. Rozumiem cię, wiem, że miałeś trudne dzieciństwo, ale bycie dorosłym polega między innymi na dokonywaniu wyborów. Może na początek spróbowałbyś trochę się rozluźnić, częściej rozmawiać z ludźmi...

O dziwo, wcale się nie obraził, że wtrąca się w jego sprawy. Wręcz przeciwnie, chyba zastanowił się nad tym, co mu powiedziała, bo po krótkim milczeniu stwierdził:

– Może faktycznie warto spróbować...

– A jak ten pacjent z przeszczepem?

– Jose? – Oczywiście znał imię pacjenta. – Lepiej. Przeszczep raczej się przyjmie.

– Doskonale.

Zamilkła. Pomyślała, że pojawił się cień nadziei, iż Blake zechce wyzwolić się ze swojej samotności. Być może dotąd nie zdawał sobie sprawy z pustki, która go otacza. Podbudowana tą myślą, zerknęła na niego z czułością. Miał zamknięte oczy; chyba spał. Nie budziła go, wiedząc, jak bardzo potrzebuje odpoczynku.

Jakież więc było jej zdziwienie, gdy dziesięć minut później Blake wziął ją za rękę.

- Tęskniłem za tobą w nocy – szepnął.
- Akumulatory już doładowane? Tak szybko? – Uśmiechnęła się wyrozumiale.
- Tak. Parę minut snu w zupełności wystarczy.
- Ja też za tobą tęskniłam.

Patrząc jej w oczy, z czułością pocałował ją w rękę.

- Daleko ten sierociniec? – zapytał i przyciągnął ją do siebie.
- Nie mam pojęcia – mruknęła, wtulona w jego ramię.
- Czy już ci kiedyś mówiłem, że jesteś piękna?
- Nie.

– Wielki błąd. – Pochylił się, by ją pocałować. Ich usta spotkały się w pół drogi, gdyż ona niecierpliwie wyszła mu naprzeciw.

– Czy wiesz, jak nazwać to, co dzieje się między nami? – zapytała, z trudem łapiąc oddech po długim pocałunku.

Bezradnie pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia – przyznał, odsuwając pasemko włosów, które spadło jej na twarz. – Nie zamierzam składać pustych obietnic, ale wiem na pewno, że jesteś dla mnie bardzo ważna. Od naszego rozstania w zeszłym roku bardzo się zmieniłem. Nie potrafię powiedzieć, co to znaczy, ale przysięgam, że niczego nie udaję.

Wierzyła mu. Na dowód tej wiary chciała go pocałować, ale właśnie wtedy taksówka się zatrzymała.

- Jesteśmy na miejscu – oznajmił Bernardo.
- Co za niezwykle wycucie chwili – burknął pod nosem Blake.

Moriah też żałowała, że nie poprosiła taksówkarza, by zabrał ich na wycieczkę po mieście. Cóż, przepadło. Z ociąganiem odsunęła się od Blake'a.

– Zaraz wracam – powiedziała i pobiegła po Henriego. Gdy zapukała, drzwi sierocińca otworzyły się niemal natychmiast.

– *La medica!* – zawołał rozpromieniony Henri. Tuż za nim stała uśmiechnięta siostra Rita.

– Proszę, niech pani wejdzie – zaprosiła Moriah przyjaznym gestem. – Obiecałam, że oprowadzę panią po naszym domu.

– Z przyjemnością go obejrzę, ale niestety nie dziś. Muszę wracać do szpitala. Czy możemy przelożyć to na później? – Moriah miała nadzieję, że zakonnica się nie obrazi.

Siostra Rita, jak na osobę duchowną przystało, była wyrozumiała. Nie zatrzymując Moriah, uściskała Henriego i zapewniła, że będzie się za niego modlić.

- Wracaj do nas szybko – zawołała, machając na pożegnanie.
- Cześć, Henri. Jak życie? – zagadnął Blake, gdy wsiedli do taksówki.
- Fajnie. Zwłaszcza że nie muszę iść dzisiaj do szkoły – odparł chłopiec rezolutnie.
- Ale będziesz musiał nadrobić zaległości – zastrzegła Moriah. – Jasne?

– Nie ma problemu. Ja lubię się uczyć – wyznał Henri. Podniósł do góry zdeformowaną dłoń i dodał: – A najbardziej to lubię robić coś rękami, dlatego bardzo się cieszę, że idę na operację. Mógłbym ją mieć nawet zaraz.

Blake uważnie przyjrzał się chłopcu.

– A ja się cieszę, że będę mógł ci pomóc – odparł.

Chwilę milczał, a potem zapytał: – Powiedz, Henri, kim chciałbyś być, jak będziesz duży?

– To przecież jasne. Lekarzem. Jak wy. Też będę pomagał poparzonym dzieciom.

– To piękne marzenia. – Wzruszona Moriah pogłaskała go po głowie.

Blake nic nie powiedział, tylko znów przyjrzał się chłopcu. Moriah mogłaby przysiąc, że w szczyrych oczach dziecka dostrzegł siebie sprzed lat.

Wysiedli z taksówki przed szpitalem, gdy minął ich rozpędzony samochód i z piskiem opon zatrzymał się przy wejściu na ostry dyżur.

– Manuel? – zdziwiła się Moriah, patrząc, jak młody mężczyzna wyskakuje z wozu i nerwowym szarpnięciem otwiera drzwi po stronie pasażera. W siedzącej na przednim siedzeniu kobiecie rozpoznała Raszę. Tknięta złym przeczuciem, przyspieszyła kroku.

– Boże, na pewno coś z dzieckiem... – powiedziała zdenerwowana, biegnąc w stronę samochodu. – Co się stało?

– Ułało jej się, a potem się zakrztusiła. – Zapłakana Rasha tuliła do piersi krzyczące niemowlę. Nawet dla niewprawnych uszu Blake’a ten krzyk brzmiał niepokojąco. – Podniosłam ją do pionu, żeby odkrztusiła, ale wtedy okropnie zsiniała.

– Niech się pani nie denerwuje, wszystko będzie dobrze. – Moriah wzięła dziecko na rękę, i obróciwszy je na brzuszek, palcem wskazującym otworzyła mu buzię.

– Lepiej wejdźmy do środka. – Blake pchnął drzwi do izby przyjęć. Nie miał żadnego doświadczenia w leczeniu dzieci, chyba że wymagały interwencji chirurgicznej, więc starał się nie przeszkadzać.

Odruchowo wszedł z Moriah do gabinetu i bezradnie patrzył, jak odsysa gruszką buzię i nosek dziecka. Nawet nie pamiętał, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Nie powinno go to obchodzić, ale z niezrozumiałych powodów chciał poznać płeć małego człowieczka.

– Jej stan się poprawia. Dzięki Bogu! – odetchnęła po chwili Moriah.

A więc dziewczynka.

– Trzeba jej podać osłonowo antybiotyki, żeby nie dostała zapalenia płuc – wydukał, gdy udało mu się odzyskać głos. Widok Moriah z niemowlęciem na rękach mocno podziałał mu na wyobraźnię. Jak na kogoś, kto nie zamierzał mieć potomstwa, zbyt łatwo wyobraził ją sobie tulącą jego dziecko.

Nie lubił dzieci.

Zresztą może nie tyle nie ich lubił, co nie rozumiał ludzi, którzy chcą je mieć. Nie pojmował, jak można dobrowolnie wziąć na siebie tak wielką odpowiedzialność. Od której przez całe życie nie ma ucieczki.

– Zgadzam się, trzeba podać antybiotyki. – Moriah spojrzała na niego i ściągnęła brwi. – Czy to twój pager?

– Co? – Nawet nie usłyszał, że coś mu dzwoni w kieszeni.

W tej samej chwili do gabinetu zajrzała pielęgniarka.

– Panie doktorze, jest pan potrzebny na bloku operacyjnym.

– Już idę. A ty? – zwrócił się do Moriah.

– Zaraz tam będę.

– Trzymaj się, Henri – powiedział do chłopca, który korzystając z okazji, zajrzał do gabinetu. – Zobaczmy się przed operacją.

– Uratował pan maleńkie dziecko – powiedział chłopiec z podziwem.

– To wcale nie moja zasługa. Uratowała je doktor Howe – przyznał uczciwie. Po chwili musiał powtórzyć to samo Manuelowi, który wylewnie dziękował mu za ocalenie córeczki. Kiedy wreszcie udało mu się wyjść z izby przyjęć, czuł się sfrustrowany. Najbardziej dokuczala mu świadomość, że kiedy Moriah ratowała dziecko, stał z boku i tylko się przyglądał. Czuł się wtedy strasznie bezużyteczny. Bo jednak czym innym jest robienie dzieciom operacji plastycznych, a czym innym ratowanie ich od śmierci.

Na bloku operacyjnym czekał na niego George.

– Słuchaj, stary – zaczął, drapiąc się nerwowo w czoło – jeden z chirurgów zachorował i potrzebne jest zastępstwo. Możesz teraz operować?

– Tak. I tak mam na dziś zaplanowany zabieg Henriego.

– Dzięki – odetchnął George. – Pacjent jest już w trójce.

Gdy parę chwil później Blake szorował ręce, mimowolnie pomyślał o Moriah. I o tym, że pocałunki w taksówce tylko zaostrzyły jego apetyt.

Miał ochotę na dużo więcej. Wczoraj wieczorem z trudem powstrzymał się, by nie pójść z nią do hotelu. Może dziś nadrobi stratę? Zaraz, zaraz. Uniósł głowę i w lustrze nad umywalką twardo spojrzął sobie w oczy. Robisz głupstwo, ostrzegł samego siebie. Przecież im więcej czasu spędzi z Moriah, tym trudniej będzie im się rozstać, gdy misja dobiegnie końca.

Widok Moriah z noworodkiem na rękach dobitnie uświadomił mu to, co wiedział od dawna. Rodzina jest dla niej najważniejsza. Kiedyś mówiła nawet, że specjalnie wybrała specjalizację z anestezjologii, by mając dzieci, móc pracować na pół etatu.

Dzieci. Nie jedno dziecko, tylko kilkoro.

Skrzywił się na wspomnienie hałaśliwego klanu Howe'ów. Jego członkowie natychmiast anektowali całą wolną przestrzeń i nie zwracali najmniejszej uwagi na otoczenie. Nie wyobrażał sobie życia w takim stadzie. Nie wspominał źle lat spędzonych u ciotki i wuja; lubił ciszę i spokój ich domu i dobrze się tam czuł. Był do nich naprawdę przywiązany i przeżył ich śmierć o wiele boleśniej niż odejście własnych rodziców.

Odsunął od siebie te niepotrzebne myśli i przystąpił do operacji, która na szczęście okazała się prostym zabiegiem. Liczył na to, że Moriah wkrótce dołączy do zespołu. Ona jednak nawet nie zajrzała do sali. W związku z tym nurtowało go pytanie, co robiła przez te wszystkie godziny. Zagadka rozwiązała się, gdy po skończonym zabiegu wszedł do sali, w której mieli operować Henriego.

– A więc tu jesteś.

– Tak. Najpierw pracowałam w zespole George'a, a kiedy nie byłam mu już potrzebna, zajrzałam do Henriego – wyjaśniła, pochylając się nad chłopcem, którego zaczęła znieczulać.

– Biedaczek, starał się być dzielny, ale wiem, że się bał.

Kto by się nie bał, pomyślał Blake.

– Posłuchaj, może chcesz, żeby zastąpił cię inny anestezjolog – zaproponował. Czuł, że ona też bardzo przeżywa ten zabieg.

– Dlaczego? – Spojrzała na niego zaskoczona.

– Przecież nic mi nie jest. Lubię Henriego, ale to taki sam pacjent jak każdy inny.

Blake odnosił inne wrażenie. Nawet jeśli Moriah tego nie dostrzegła albo nie chciała się do tego przyznać, widać było, że Henri jest dla niej kimś wyjątkowym.

Najbardziej zdumiewające było jednak to, że również on się denerwował. Co będzie, jeśli w czasie z pozoru prostej operacji pojawią się komplikacje? Na samą myśl o tym przeniknął go nieprzyjemny chłód. Natychmiast odsunął od siebie te bezsensowne obawy. Nie chciał, by stały się samospełniającą się czarną przepowiednią.

Moriah w przeciwieństwie do niego lubiła dzieci i łatwo nawiązywała z nimi kontakt, rozumiał więc jej lęk o Henriego. Naraz przyszła mu do głowy irytująca myśl: pewnego dnia Moriah urodzi dziecko innego mężczyzny. Blake obawiał się, że nie będzie potrafił zaakceptować tej sytuacji.

Ty chyba oszalałeś, człowieku. Żeby na pięć minut przed operacją myśleć o takich rzeczach! – zdenerwował się.

– Powiedz, jak będziesz gotowa, i zaczynamy.

– Jeszcze chwila. Dam mu pierwszą dawkę antybiotyku.

Podczas gdy Moriah podawała dożylnie lek, dokładnie obejrzał poparzoną dłoń, starając się obmyślić najskuteczniejszą metodę postępowania. Zdecydował, że zacznie od usunięcia przykurczu środkowego palca.

– Jestem gotowa.

– Więc zaczynamy.

Wykonał pierwsze cięcie i właśnie przygotowywał się do odłączenia ścięgna, gdy Moriah krzyknęła:

– Blake! Henri dostał wysypki. To musi być reakcja alergiczna na antybiotyk.

– Przygotuj dawkę epinefriny – polecił spokojnie.

– Już mu dałam jeden miligram. A do tego benadryl. – Głos jej drżał, co w przypadku osoby tak opanowanej jak ona było zaskakujące. – W jego karcie nie ma żadnej wzmianki o uczuleniu na penicylinę. Pamiętasz, co mu dawaliśmy poprzednim razem?

– Cefoxin. – Był tego pewien, gdyż przed operacją dokładnie przeczytał kartę szpitalną Henriego. – Chcesz, żebyśmy przerwali zabieg? Możemy spróbować za kilka dni.

– Nie, epinefrina zaczyna działać. – Moriah była już znacznie spokojniejsza. – Ma jeszcze wysypkę, ale nie pojawiają się nowe ogniska. Oddychanie przebiega bez zakłóceń.

– Wobec tego kontynuuję. Jesteś pewna, że tak ma być? – Zostawił jej tę decyzję, gdyż to ona była emocjonalnie związana z Henrim.

– Tak. Rób swoje. W tej chwili stan jest stabilny, nie dzieje się nic niepokojącego. – Spojrzała mu w oczy. – Chcę mieć to jak najszybciej za sobą.

– W porządku. – Wrócił do przerwanej pracy. – Na szczęście to nie potrwa długo.

Półtorej godziny później odsunął się od stołu i zaczął ostrożnie rozciągać zeszywniałe mięśnie ramion i karku.

– Gotowe – oznajmił. – Poszło lepiej, niż sądziłem. Wydaje mi się, że będzie miał większą sprawność ruchową, niż początkowo zakładałem.

– Wybudzać go?

– Tak. Jest twój.

– Dzięki! – Odetchnęła. – Podam mu tlen i odwiozę go na blok pooperacyjny.

– Przyjdę tam za parę minut, kiedy skończę obchód – obiecał.

Parę minut potrwało dobre dwie godziny. Blake spędził sporo czasu przy łóżku Josego, który długo dziękował mu za wszystko, co dla niego zrobił.

– Proszę mi tak nie dziękować – odparł zażenowany. – Najważniejsze, że przeszczep się przyjął. A powiem panu szczerze, że miałem spore obawy. Zajrzę do pana jutro rano.

Dotarł na blok pooperacyjny akurat w chwili, gdy pielęgniarka gasiła światło w sali, do której Moriah zawiozła Henriego.

– Gdzie doktor Howe? – zapytał.

– Na trzecim piętrze, w sali trzysta czternaście. Wrócił do windy i wjechał na górę.

W jednoosobowej sali paliła się tylko mała lampka, więc musiał chwilę zaczekać, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności. Nagle ściągnął brwi; na krześle przy łóżku Henriego spała skulona Moriah. Głowę położyła na poduszce tuż obok buzi chłopca.

W pierwszej chwili nie bardzo rozumiał, co się stało. Dopiero po chwili doznał olśnienia. Jasne, Moriah postanowiła dyżurować przy Henrim przez całą noc.

Przyjrzał jej się uważnie; wyglądała na spokojną i szczęśliwą. Nagle poczuł się dziwnie osamotniony, zepchnięty na drugi plan. Musiał przyznać, że jako kochankowie nie mają szczęścia: wczoraj on nie mógł wrócić z nią do hotelu, dziś ona postanowiła zostać z Henrim. Nagle uśmiechnął się do siebie. Moriah miała indiańskich przodków, więc ze swą oliwkową karnacją i ciemnymi włosami mogła śmiało uchodzić za mamę Henriego.

Moriah matką! Znow nasunęło mu się to skojarzenie. Z łatwością mógł ją sobie wyobrazić z zaokrąglonym brzuchem, w którym rośnie dziecko, maleńka dziewczynka albo chłopczyk, tak samo śniady i czarnowłosy jak ona.

Niedawno mówiła o dokonywaniu wyborów. W tej chwili widział dwie możliwości. Mógł na zawsze zniknąć z jej życia, tak by mogła ułożyć je sobie z kimś innym. Z kimś, dla kogo rodzina jest tak samo ważna jak dla niej.

Albo mógł z nią zostać i dać szansę ich związkowi. Nie był tylko pewien, czy ma prawo prosić Moriah, by dla niego zrezygnowała ze swoich marzeń.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Moriah z trudem otworzyła oczy. Henri poruszył się we śnie i właśnie to ją obudziło. Spojrzała na jego pogodną buzię i pomyślała, że trafił jej się kolejny idealny pacjent. Prawdziwy anioł. Operowana dłoń musiała go bardzo boleć, mimo to wcale się nie skarżył i ani razu nie poprosił o środki przeciwbólowe.

– Może jednak coś ci dam? Zobaczysz, od razu zaśniesz i nie będziesz nic czuł.

– Nie, pani doktor. Naprawdę nic mnie nie boli – zarzekał się chłopiec.

Doskonale wiedziała, że to nieprawda i wreszcie, nie pytając go o zdanie, zaaplikowała mu dawkę morfiny, dzięki której spokojnie przespał noc.

Im dłużej mu się przyglądała, tym więcej dostrzegła podobieństw między nim a Mitchem, jednym ze swoich siostrzeńców. Henri z identycznym lekceważącym uśmiechem kwitował jej prośbę, by najpierw dokończył kolację, a dopiero potem brał się do deseru. Nawet spał podobnie, głęboko i spokojnie, prawdziwym snem sprawiedliwego. Do licha, z łatwością potrafiła sobie wyobrazić, jak ci dwaj hultaje razem się bawią. Była pewna, że mimo różnic kulturowych szybko znaleźliby wspólny język. W przenośni i dosłownie, gdyż angielski Henriego był zaskakująco dobry.

Gdy nieco oprzytomniała, wstała z krzesła i przeciągnęła się mocno. Ostrożnie rozruszała bolące mięśnie i dopiero po takiej zaprawie poszła do łazienki, by trochę się ogarnąć. Było bardzo wcześnie, ale wiedziała, że Blake za chwilę zacznie obchód.

Kiedy przyszedł, powitała go promiennym uśmiechem. On jednak potraktował ją z rezerwą. Pytał wyłącznie o Henriego i w ogóle zachowywał się tak, jakby rozmawiał z kimś z rodziny pacjenta, a nie z kobietą, z którą dopiero co spędził upojną noc.

Spojrzała na niego z ukosa. Aha! Historia się powtarza. Blake znów jej się wymyka. Najgorsze, że nie potrafiła go powstrzymać.

– Jak Henri?

– Bardzo dobrze. Dałam mu tylko jedną dawkę morfiny.

– Tym lepiej. Skoro nie ma problemów ze spaniem, nie widzę wskazań do podawania środków przeciwbólowych – stwierdził sucho, nie odrywając oczu od karty informacyjnej. – Cieszę się, że nie ma już wysypki.

– Ja też. – Moriah zmarszczyła czoło. Sytuacja zaczyna trącić absurdem. Czy jej się zdaje, czy etap dąsów mieli już za sobą? Wczoraj rano w taksówce tulił ją i namiętnie całował, a dziś? Zachowuje się jak obrażona primabalerina. Co go ugryzło? – Henri nie wymaga stałej opieki, więc zapytam George'a, czy nie chce, żeby mu pomóc.

– Na pewno będzie ci wdzięczny. – Blake wreszcie na nią popatrzył, ale w jego oczach nie było nic poza chłodną obojętnością. – Nie zapomnij zmienić Henriemu opatrunku około siódmej wieczorem.

– Nie zapomnę. – Skonsternowana bezradnie patrzyła, jak Blake odwraca się i wychodzi. Co się stało? Coś musiało wytrącić go z równowagi. Tylko co? Nie miała pojęcia. Przecież nie pokłócili się ani nie było między nimi żadnych nieporozumień. Chyba się nie pogniwał,

że poświęca czas Henriemu? Obiecała sobie, że przy pierwszej okazji przycisnie* go do muru i wydusi z niego prawdę.

– Jak się czujesz? – zapytała chłopca, kiedy na dobre się obudził.

– Świetnie. Naprawdę. Pani doktor, ja wiem, że pani jest bardzo zajęta. Nie musi pani tu ze mną siedzieć. Poradzę sobie – zapewnił.

– Cieszę się. Skoro nie jestem ci potrzebna, pójdę pomóc koledze, a potem do ciebie zajrzę, zgoda?

– Zgoda. Będę czekał.

Kiedy dotarła na blok operacyjny, George właśnie stamtąd wychodził.

– Moriah! Z nieba mi spadasz. Słuchaj, masz teraz chwilę?

– Tak. Właśnie idę zapytać, czy się na coś nie przydam. A o co chodzi?

– Jeden z lekarzy prosił, żebym obejrzał pacjentkę, która może kwalifikować się do operacji. To młodziutka dziewczyna, ma szesnaście lat. Pomyślałem sobie, że będzie jej różnie, jeśli zbadają kobieta – opowiadał, idąc szybko przez labirynt korytarzy.

– Jasne, chętnie ją obejrzę. Wiesz, z czym się zgłosiła? – Moriah musiała mocno wyciągać nogi, by za nim nadażyć.

– Pojęcia nie mam. – George wzruszył ramionami. – Zaraz się dowiemy.

Moriah pierwsza weszła do gabinetu, w którym czekała pacjentka. Była to drobna nastolatka, która przez cały czas zasłaniała dłonią usta. Siedzący obok niej mężczyzna w średnim wieku natychmiast wstał z miejsca.

– Dzień dobry. Nazywam się Theo, a to jest moja córka Marita – powiedział wolno. – Szliśmy tu sześć dni, od świtu do nocy. Chcemy prosić, żebyście zrobili coś z twarzą Marity.

Moriah zaniemówiła. Boże święty, szli pieszo sześć dni? To się nazywa determinacja.

– Dzień dobry, Marito. – Uśmiechnęła się do pacjentki. – Powiesz mi, co ci dolega? – Chciała odsunąć rękę dziewczyny, ale ta jej na to nie pozwoliła. Pod wpływem dotyku skuliła się i energicznie pokręciła głową.

– Niech się pani nie gniewa, pani doktor. Marita strasznie się wstydzi pokazywać ludziom – wyjaśnił Theo. – Ma to od urodzenia, ale im jest starsza, tym z nią gorzej. Nie chce wychodzić z domu, z nikim się nie spotyka. Bardzo was proszę, pomóżcie, bo dziewczyna mi marnieje. Nie dalej jak dwa miesiące temu próbowała odebrać sobie życie.

A więc to nie żarty, pomyślała Moriah. Jeszcze raz spróbowała dotknąć Marity. Tym razem delikatnie położyła rękę na jej ramieniu.

– Jestem lekarką – rzekła poważnie. – Proszę, pozwól mi zobaczyć swoją buzię. Mój kolega, doktor Litmann, jest chirurgiem i naprawdę może ci pomóc.

Marita zamknęła oczy i z ociąganiem opuściła dłoń. Jej młoda twarz był straszliwie oszpecona przez rozszczepioną górną wargę, która nie zoperowana, gdy dziewczyna była niemowlęciem, z wiekiem wyglądała coraz gorzej.

– Przecież jej tak nie zostawimy – westchnął z rezygnacją George, któremu wystarczyło jedno spojrzenie na defekt. – Musimy znaleźć dla Marity miejsce.

– Z całego serca dziękujemy, doktorze. – Theo uśmiechnął się z ulgą.

Moriah przysunęła się do George'a.

– Mam dziś wolny dzień, ale znieczulę ją, jeśli znajdziesz chirurga – powiedziała, zniżając głos.

– Dzięki. Zaraz kogoś wykombinuję – obiecał i nie tracąc czasu, ruszył na poszukiwania.

– Ja ją w tym czasie zbadam – rzuciła za nim i ponownie zwróciła się do dziewczyny: – Marito, powiedz mi, o której jadłaś ostatni posiłek. – Kiedy ta, zamiast odpowiedzieć, spojrzała bezradnie na ojca, Moriah wytłumaczyła, o co chodzi: – Pytam, bo muszę wiedzieć, czy masz pusty żołądek, czy nie. Zaręczam ci, że bez względu na wszystko będziesz dziś operowana.

Dziewczyna wciąż milczała.

– Pani doktor, my od wczoraj nie mieliśmy nic w ustach – wyznał Theo. – Skończyło nam się jedzenie i pieniądze.

Chryste! Moriah nie wierzyła własnym uszom. Ci ludzie szli tydzień o głodzie, żeby pokornie poprosić o operację. Kto w Ameryce albo w Europie byłby gotów na takie poświęcenie?

– Cóż, źle, że jesteście głodni, ale jeśli chodzi o ciebie, Marito, to akurat dobrze się złożyło. Jesteś na czczo, więc możemy szybciej cię operować – powiedziała, starając się, by zabrzmiało to naturalnie.

– Umieszczę Maritę na oddziale, a potem przyniosę panu coś do jedzenia, dobrze? – dodała, zwracając się do Thea.

– Niech się pani mną nie przejmuje, pani doktor. Proszę tylko o ratunek dla córki.

Nim zdążyła go przekonać, że jednak powinien coś zjeść, do gabinetu wrócił George w towarzystwie Blake'a, który, jak się okazało, podjął się rekonstrukcji rozszczepionej wargi. Operacja zaczęła się po południu i na szczęście nie trwała długo. O dziwo, w czasie zabiegu Blake zachowywał się wobec niej normalnie. Po rezerwie, z jaką traktował ją rano, nie było śladu. Nie stronił od niej ani nie udawał, że jej nie dostrzega. Jedyną przykrą niespodzianką, która niepotrzebnie przedłużyła zabieg, była awaria aparatury anestezyjologicznej. Usterka nie była na tyle poważna, by musieli przerwać pracę, więc operację Marity udało się szczęśliwie doprowadzić do końca.

Moriah odwiozła nieprzytomną dziewczynę na blok pooperacyjny i przekazała jak zawsze niezawodnej Grecie.

– Oj, pani doktor – powiedziała ostrzegawczo pielęgniarzka – zdaje się, że mamy kłopot. Pojawiły się kłopoty z oddychaniem.

– Wybudza się?

– Nie bardzo.

Moriah przeraziła się, że podała dziewczynie zbyt dużą dawkę narkozy. Było to o tyle prawdopodobne, że nieszczęsna aparatura nie działała jak powinna. Tak czy owak nie było czasu na analizowanie przyczyn zapaści. Nie tracąc ani chwili, założyła Maricie maskę tlenową.

– Już lepiej – pocieszyła ją Greta. – Poprawia się utlenienie organizmu.

– Marita! Słyszysz mnie? Hej, obudź się, dziewczyno!

Po kilku minutach pod tlenem Marita zaczęła niespokojnie rzucać głową. Chwilę później

mrugnęła powiekami i otworzyła szeroko oczy.

– Boże, nareszcie! – jęknęła Moriah, ocierając pot z czoła. – Niewiele brakowało, a miałabym ją na sumieniu. Koniecznie muszę zgłosić awarię tej przeklętej maszyny, zanim któryś z kolegów przeżyje podobny stres.

Moriah została na oddziale pooperacyjnym, dopóki Marita nie odzyskała pełnej świadomości. Dopiero gdy była pewna, że życiu dziewczyny nic już nie zagraża, zdecydowała się wracać do hotelu. Resztę wieczoru miała tylko dla siebie. Podobnie jak Blake, który też już powinien wychodzić ze szpitala.

W jej głowie szybko zrodził się chytry plan. Postanowiła, że najpierw pójdzie zmienić opatrunek Henriemu, a potem wróci do hotelu i zaskoczy Blake'a jakąś miłą niespodzianką. Nie dość, że codziennie harował od świtu do nocy, to jeszcze niańczył ją, gdy zwichnęła kostkę, a potem miała chory żołądek. Pora, żeby zrewanżowała się za wszystko, co dla niej zrobił.

A gdyby tak zaprosić go na piknik? Zadowolona z pomysłu szybko wymyśliła, że zamówi coś na wynos w hotelowej restauracji. Była pewna, że kiedy wreszcie zostaną z Blakiem sami, będą mogli poważnie porozmawiać. Albo zrobić coś zgoła innego.

Postanowiła, że włoży jakiś seksowny strój. Tak na wszelki wypadek, gdyby Blake nie odgadł jej intencji. Czasu mieli niewiele, więc nie zamierzała go tracić. Miała zamiar śmiało powiedzieć mu, czego chce.

Uśmiechnęła się do siebie figlarnie. Wprost nie mogła się doczekać, by zobaczyć jego minę.

Dwie godziny później była gotowa do akcji. W jednej ręce trzymała torbę z jedzeniem, drugą zaś wygładzała swoją najlepszą letnią sukienkę. Może nie była oszałamiająco seksowna, ale wiedziała, że ładnie w niej wygląda. Najważniejsze, że pod spodem nie miała żadnej bielizny.

Stała pod drzwiami pokoju Blake i dopiero po chwili zebrała się na odwagę, by zapukać. Cisza... Nerwowo przestąpiła z nogi na nogę.

Już miała zapukać ponownie, gdy Blake uchylił drzwi. Tak jak sądziła, zaskoczyła go niezapowiedzianą wizytą.

– Stało się coś? – zapytał niespokojnie.

– Nie. Przyszedłam zaprosić cię na piknik – powiedziała, unosząc do góry torbę pełną wiktuałów. – Chyba jesteś głodny?

– Prawdę mówiąc, właśnie zjadłem. – Wciąż stał w progu i najwyraźniej nie zamierzał zaprosić jej do środka.

– Nie szkodzi. Mnie też nie chce się jeść. Możemy zrobić sobie imprezę bez jedzenia – zaproponowała z entuzjazmem. – Co ty na to? – zapytała, wspinając się na palce, by pocałować go w policzek.

– To nie jest najlepszy pomysł. – Ku jej zaskoczeniu nie pozwolił jej się do siebie zbliżyć.

– Ale dlaczego? Przecież ustaliliśmy, że to będzie fajna przygoda bez zobowiązań.

– Ciekawe. Jakoś nie przypominam sobie takich ustaleń. – Zacisnął dłonie na jej

ramionach, ale zaraz ją puścił. – Powiedz, kogo próbujesz oszukać? Przecież widziałem cię z dzieckiem tej kobiety i z Henrim. Ty nie jesteś typem kobiety, która szuka przelotnych romansów.

Ma rację. Nawet nie próbowała zaprzeczać.

– Czy stały związek naprawdę byłby dla ciebie taką wielką tragedią? – zapytała, pilnując, by zabrzmiało to lekko i żartobliwie.

– Nie. Tak. To znaczy... A niech to jasna cholera! – Bezradnie opuścił ramiona. – Mam tego dość!

– Czego?

– Okłamywania. Ciebie. I siebie też.

– Okłamywania? – Na dźwięk tego słowa przebiegł ją nieprzyjemny dreszcz.

– Tak. Obydwoje próbujemy sobie wmówić, że to wszystko ma sens. – Widać było, że cierpi i mocno przeżywa każde słowo. – Zależy mi na tobie. Boże, jestem pewny, że się w tobie zakochałem!

Zamarła. Czy on to naprawdę powiedział?

– Mówisz poważnie? – upewniła się.

– Tak. Moriah, chciałbym żebyś zrozumiała jedno. Jestem, jaki jestem. Nie zmienię się. Nie ukrywam, że chciałbym z tobą być, ale rodziny mieć nie zamierzam.

Po euforii, która ją ogarnęła, nie został nawet ślad.

– Ty nie mówisz tego poważnie.

– Jak najpoważniej. Sama powiedziałaś, że człowiek dorosły może dokonywać wyborów. Co zrobisz, jeśli ci powiem, że ja właśnie wybrałem? Będziesz próbowała zmusić mnie do zmiany decyzji, bo liczyłaś na więcej? – Chciała coś powiedzieć, ale nie pozwolił sobie przerwać. – Uważasz, że jestem egoistą? Ja bym raczej powiedział: realistą. Niektórzy ludzie wcale nie chcą mieć rodziny, bo nie uśmiecha im się dźwiganie takiego ciężaru. Moi rodzice byli tego najlepszym przykładem.

Twoi rodzice byli niewiele warci, pomyślała, ale nie odważyła się powiedzieć tego głośno.

– Dzieci wcale nie muszą być ciężarem – szepnęła.

– Ale są, z natury rzeczy. Trzeba je kochać, ubierać, karmić, zapewnić dach nad głową. Nie mam najmniejszej ochoty brać na siebie takich obowiązków. – Cofnęła się w głąb pokoju. – Jeśli potrafisz mnie zaakceptować takim, jaki jestem, bardzo proszę, wejdź.

Patrzyła na niego w niemym zdumieniu. Postawił jej ultimatum! Powiedział, że ją kocha. Ona też go kocha, a jednak nie może przyjąć jego warunków. Nawet dla miłości nie byłaby w stanie wyrzec się tego, co od zawsze było dla niej największą wartością.

– Ja też jestem, jaka jestem – odparła, czując dławienie w gardle. – I ja też się nie zmienię. Nie wyrzeknę się marzeń. I nie wierzę, że jesteś taki sam jak twoi rodzice.

– Masz prawo nie wierzyć. Co nie zmienia faktu, że jestem dokładnie taki sam jak oni. Miałem okazję spędzić trochę czasu z twoją rodziną. Jak na mój gust, jest was po prostu za dużo. Jesteście hałaśliwi, przekrzykujecie się nawzajem, nie słuchacie, co się do was mówi. Podczas wizyt w waszym domu marzyłem tylko o jednym: żeby jak najszybciej wyjść.

Czułem się okropnie.

Zaniemówiła. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że ktoś może odbierać jej najbliższych w tak negatywny sposób.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałbym się dla ciebie zmienić. Ale nie potrafię – oświadczył, a potem wolno zaniknął drzwi. Robił to z wyraźnym ociąganiem, jakby podświadomie pragnął, by go powstrzymała.

Ugięły się pod nią nogi. Torba z jedzeniem upadła na podłogę. Tak bardzo chciała wierzyć, że ona i Blake mają choć cień szansy na trwałą i szczęśliwy związek.

Blake właśnie rozwiął te złudzenia.

Nie była pewna, ile czasu minęło, zanim otrząsnęła się z odrętwienia. Kiedy świat znowu ruszył z miejsca, zmobilizowała się i poszła do szpitala. Nie chciała być teraz sama. Poza tym nie miała nic do roboty, a tam zawsze przydawała się pomoc.

Najpierw zajrzała do Marity i jej ojca.

– Przyniosłam panu obiad – powiedziała, wyjmując z torby porcję przeznaczoną dla Blake'a. Tę, którą zamówiła dla siebie, miał dostać Henri. – Marito, czy widziałas już, jak wyglądasz po operacji?

Dziewczyna pokręciła głową, Moriah poszła więc do pielęgniarek po lusterko.

– Proszę, spójrz na siebie – powiedziała, podsuwając je Maricie. – Śmiało.

Dziewczyna długo przypatrywała się swojemu odbiciu. Nagle w jej brązowych oczach błysnęły łzy. Chwilę później płynęły obficie po policzkach.

– Marito, proszę cię, nie płacz. – Moriah natychmiast zabrała jej lusterko. – Twoje usta są jeszcze mocno spuchnięte, ale zobaczysz, że niedługo wszystko pięknie się zagoi.

– Pani doktor, przecież ona płacze z radości. – Theo z czułością przytulił córkę.

Marita skinęła głową.

– Bardzo dziękuję – szepnęła niewyraźnie. – Podarowaliście mi nowe życie.

– Nie ma o czym mówić. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że mogliśmy ci pomóc. – Moriah mogła sobie tylko życzyć, by wszyscy pacjenci byli równie zadowoleni z ich pracy.

Od Marity poszła do Henriego.

– Cześć, przyniosłam ci obiad.

– Super! – Ledwie weszła, chłopiec od razu się rozpromienił. – Niech pani popatrzy, co już mogę robić. – Uniósł do góry dłoń i zaczął poruszać palcami.

– Doskonale! Jeśli będziesz codziennie ćwiczył, palce będą coraz sprawniejsze.

– Będę ćwiczył na pewno! – obiecał. – Może jutro wypiszą mnie ze szpitala.

– Tak szybko?! – Nagle, nie wiedzieć czemu, ogarnął ją smutek. Uważała Henriego za wspaniałego dzieciaka i lubiła spędzać z nim czas. Być może, opiekując się nim, znajdowała namiastkę prawdziwego macierzyństwa, którego mogła nigdy nie zaznać.

– Skoro mówisz, że mają cię wypisać, muszę zamówić na jutro taksówkę. Zadzwoń z dyżurki pielęgniarek – powiedziała, wstając.

– Chciałabym umówić się z taksówkarzem – wyjaśniła, sięgając po telefon. – Być może jutro będę musiała odwieźć Henriego do sierocińca.

– Nie szkoda pani pieniędzy na taksówkę? – obruszyła się jedna z dziewczyn. – Jeśli będzie pani musiała jechać, proszę wziąć mój samochód.

– Chętnie skorzystam. – Moriah nie chciała jej urazić odmową. – Gdzie się spotkamy?

– Przyjadę rano pod hotel. Zostawię pani kluczyki i pójdę do pracy pieszo.

– Bardzo pani dziękuję!

Wróciła do Henriego, by zmienić mu opatrunek i zdecydowała, że zostanie przy nim na noc. Uznała, że nie ma sensu wracać do hotelu, bo i tak czeka ją bezsenna noc.

Rzeczywiście, długo nie mogła zasnąć. Patrzyła na smacznie śpiącego chłopca i myślała o tym, że powinna być z siebie zadowolona. Dzięki operacjom Henri znów mógł poruszać palcami, a Marita odzyskała chęć do życia. Moriah miała więc powody do satysfakcji, tymczasem popadała w coraz większą melancholię.

Nurtowało ją wiele pytań, na które nie znajdowała odpowiedzi. Na przykład co będzie, jeśli odrzuci miłość Blake'a, a potem okaże się, że nie może mieć dzieci? Albo nigdy nie pokocha innego mężczyzny na tyle mocno, by mieć stuprocentową pewność, że właśnie z nim chce spędzić życie?

Do tej pory była przekonana, że Blake, wysuwając swoje ultimatum, zachował się jak skrajny egoista. Teraz przyszło jej do głowy, że może to nią kieruje egoizm? Może zbyt wiele chce od życia? Bo przecież chciała mieć wszystko naraz: Blake'a, miłość i własną rodzinę.

Obudziła się wcześniej, w samą porę, by przed obchodem zdążyć się nieco odświeżyć. Nie chciała, żeby Blake zobaczył ją zapuchniętą i potarganą.

Była w łazience, gdy usłyszała podniecony głos Henriego:

– Dzień dobry, panie doktorze!

W pośpiechu dokończyła poranną toaletę i weszła do sali.

– Cześć, Blake. Twój pacjent ma się doskonale. Dosłownie tryska energią – powiedziała, siląc się na lekki ton.

– Właśnie widzę. Skoro tak, nie będziemy go tu trzymali. Dzwoniłaś do Bernarda?

– Nie. Pożyczę samochód od jednej z pielęgniarek. – Nielatwo było jej mówić do niego tak, jakby byli tylko kolegami z pracy, a nie niedawnymi kochankami.

– Wobec tego wypisuję cię, przyjacielu. – Blake uśmiechnął się do chłopca. Szybko uzupełnił dokumenty i przekazał je Moriah. – To dla jego opiekunów w sierocińcu – wyjaśnił.

– Wiem. – Ostrożnie wzięła papiery, pilnując się, by niechcący nie dotknąć jego dłoni. Chwilę stali naprzeciw siebie, oboje świadomi, że sytuacja staje się niezręczna. Blake ocknął się pierwszy.

– Bądź zdrow, Henri – powiedział i wyszedł. Moriah z trudem powstrzymała się, by go nie zawołać. Właściwie sama nie wiedziała, po co, bo nie miała pojęcia, co chciałaby mu powiedzieć.

Szybko spakowała rzeczy Henriego, po czym wyszli z sali. Po drodze wstąpili do mieszczącej się w lobby szpitalnej apteki po antybiotyk, który chłopiec miał brać jeszcze przez kilka dni.

– Pamiętaj, dwa razy dziennie, jedną tabletkę rano, a drugą wieczorem. Schowaj do kieszeni, żebyś nie zgubił – instruowała go, gdy wychodzili ze szpitala.

Henri pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Moriah przyjrzała mu się uważnie. Wydawało jej się, że jest dziwnie wyciszony i zamknięty w sobie.

Na ulicy przed szpitalem spotkali Rashę i Manuela.

– Jak malutka? – zapytała Moriah.

– Już dobrze – odparła Rasha.

– Jest cudna. – Moriah poczuła bolesne ukłucie zazdrości. Nie pojmowała, dlaczego los uparł się, by pozbawić ją szczęścia, którym tak hojnie obdarzał innych.

– Pani doktor, jutro zaczyna się uliczny festyn. Może pani przyjdzie? – zaproponowała Rasha, wymieniając znaczące spojrzenie z Manuelem. – Chcielibyśmy spotkać się z panią, zanim wrócimy do siebie.

– Pewnie, że przyjdę! – Roześmiała się, patrząc wymownie na małą Margaretę. – A teraz musimy już iść, prawda, Henri? – Spojrzała tam, gdzie spodziewała się go zobaczyć. – Hej, gdzie on się podział? – Rozejrzała się na boki.

Rasha i Manuel spojrzeli po sobie.

– Nie zauważyłem, jak odchodził – przyznał Manuel.

Przygotowania do festynu szły pełną parą, więc na ulicy było mnóstwo ludzi.

– Może chciał się przejść? – podsunęła Rasha.

Przejść się? Ale dokąd? Postanowił na własną rękę wrócić do sierocińca? Mało prawdopodobne, szpital był zbyt daleko. Moriah gubiła się w domysłach.

Coraz bardziej zdenerwowana pobiegła pod hotel, ale tam też go nie było. Wróciła więc do Rashy i Manuela, którzy zostali przed szpitalem.

Nagle skuliła się w sobie. Henri był zbyt rozsądny, żeby oddalić się bez uprzedzenia i włóczyć po ulicy. Pewnie uciekł, by nie wracać do sierocińca.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Blake nie mógł się na niczym skupić. Setny raz przeżywał w myślach wczorajszą rozmowę z Moriah, tyle że tym razem kończył ją zupełnie inaczej. Zamiast z brutalną szczerością wymagać, by wybierała między nim a swymi marzeniami, zapraszał ją do środka i brał w ramiona.

Cholera! Naprawdę powinien był trzymać się od niej z daleka. Zwłaszcza że tak naprawdę wcale nie chciał, by się dla niego zmieniała. Prześladował go jej obraz z córeczką Rashy na ręku. Sam też miał ochotę przytulić do siebie tę maleńką istotkę. Coś takiego zdarzyło mu się po raz pierwszy w życiu.

Gdy rankiem rozmawiał z Moriah w pokoju Henriego, cierpiał katusze. Celowo skupił się wyłącznie na kwestiach medycznych. Zaimponowała mu spokojem, z jakim znosiła jego zachowanie. Nie pokazała tego po sobie, ale i tak wiedział, że rani jej uczucia. Pożałował tego, co robi. Gotów był prosić, by mu wybaczyła.

Nie zrobił tego jednak. Powstrzymało go nagle wspomnienie własnego dzieciństwa. Rodziców. Wiedział, że wcale nie pragnęli dziecka. Jego przyjście na świat było dziełem przypadku. Podejrzewał, że rodzice próbowali pogodzić się z jego obecnością i poświęcić mu jakąś część uwagi. Niestety, niewiele pamiętał z tych pierwszych lat, które z nimi spędził.

Najżywiej wspominał dzień, gdy zawieźli go na lotnisko i wsadzili do samolotu lecącego do Chicago, gdzie mieszkali ciotka i wuj. Pożegnali się z nim w holu małego lotniska, a potem stali objęci i machali mu na do widzenia. A on szedł ze stewardesą, która prowadziła go na pokład. Do dziś był głęboko przekonany, że rodziców łączyła tak silna emocjonalna więź, iż nawet dziecko nie zdołało wcisnąć się między nich.

Mimo upływu lat nie był w stanie zapomnieć o tamtym zdarzeniu. Być może Moriah postawiła słuszną diagnozę: fakt, że jako dziecko został odrzucony przez rodziców sprawił, iż w dorosłym życiu uciekał przed bliskością. Tak było aż do pamiętnej nocy, którą spędził z Moriah.

Zrozumiał, że tylko z nią może osiągnąć spełnienie i stworzyć związek podobny do tego, jaki mieli jego rodzice. Jak na ironię, Moriah nie wystarczało życie w parze. Dla niej dwoje szczęśliwych ludzi to było zdecydowanie za mało. I w ten oto sposób sytuacja stała się patowa.

Co teraz? – pomyślał bezradnie, czując tak silny ucisk w klatce piersiowej, że musiał oprzeć się ręką o framugę. Czy zawsze już będzie miał wrażenie, że coś w nim umiera? I czy wspomnienie Moriah będzie prześladowało go do końca życia, nie pozwalając mu znaleźć szczęścia u boku innej kobiety? Obawiał się, że zna odpowiedź na te pytania.

Po skończonym obchodzie poszedł do dyżurki pielęgniarek, by przygotować wypis dla Josego. Właśnie tam znalazła go zdenerwowana Moriah.

- Musisz mi pomóc! – zawołała wzburzona.
- Co się stało? – Obrzucił ją badawczym spojrzeniem.
- Henri uciekł!

– Co takiego? – Myślał, że się przesłyszał. – Niby dlaczego miałby to robić?

– Żeby nie wracać do sierocińca, ale to tylko moje przypuszczenie – zastrzegła. – Byliśmy przed szpitalem. Rozmawiałam z Rashą i Manuelem, a on stał obok. I nagle zniknął. Rozpłynął się w powietrzu. Nie wiem, gdzie go szukać! Błagam cię, pomóż!

– Uspokój się. Na pewno zaraz go znajdziemy. Przecież nie mógł odjechać daleko.

– Pytałam w hotelu, ale nikt go tam nie widział. Na ulicach jest dziś tłum. Będziemy szukali igły w stogu siana.

Ledwie wyszli przed szpital, zrozumiał, że wcale nie przesadziła. Pierwszy raz widział ulicę Trujillo tak zatłoczone i barwne. Gdzie nie spojrzeł, ludzie uwijali się przy rozstawianiu namiotów, instalowaniu świateł i budowaniu głównej sceny.

– Henri na pewno gdzieś tu jest – zapewnił, by ją uspokoić. – Za chwilę go odnajdziemy. W co był ubrany?

– W białe spodnie i czerwony T-shirt.

– Ty idź w lewo, a ja pójdę w prawo. Spotkamy się za dwadzieścia minut przy fontannie – powiedział.

Rozdzielili się i każde ruszyło w swoją stronę. Blake torował sobie drogę wśród tłumu, próbując wypatrzeć coś, co mogło przykuć uwagę dziesięciolatka. Nagle przyspieszył kroku; przed budynkiem, który wyglądał na szkołę, zebrała się spora grupa dzieci.

– Henri! – zawołał, gdyż wszystkie wydały mu się niemal identyczne.

Dzieciaki rozstały się przed nim i wtedy zrozumiał, dlaczego zbiegły się akurat w tym miejscu: na ziemi leżał chłopiec. Serce skoczyło mu do gardła, lecz zaraz się uspokoił. Na szczęście poszkodowanym nie był Henri. Za to ich zguba znalazła się tuż obok; Henri klęczał przy chłopcu i kawałkiem materiału oddartym z nogawki bandażował krwawiące ramię chłopca.

– Co się stało? – Blake przecisnął się do niego.

– Zobaczyłem, że się biją i próbowałem ich rozdzielić. – Sądząc po podbitym prawym oku, interwencja raczej nie przebiegła pokojowo. – Krzyczałem na nich, ale oni wcale mnie nie słuchali. W końcu jeden zrobił drugiemu krzywdę. Dopiero wtedy się opamiętali. Zauważyłem, że temu małemu leci krew, więc zacząłem mu bandażować rękę.

Blake poczuł niewysłowioną ulgę.

– Dzielnie się spisałeś – pochwalił, kładąc dłoń na ramieniu chłopca. – I świetnie sobie poradziłeś z bandażowaniem. Powiedz, czy ten drugi uderzył go w głowę?

– Nie, chyba nie.

Blake pochylił się nad leżącym chłopcem.

– Otwórz oczy – poprosił i obejrzał jego źrenice. Nie dostrzegł żadnych objawów wstrząśnienia mózgu, ale uznał, że lepiej zabrać go do szpitala na dokładne badania. – Chodź, Henri. Musimy odstawić tego kolegę do izby przyjęć i znaleźć doktor Moriah. Strasznie się o ciebie martwi.

Wspólnymi siłami pomogli chłopcu wstać i zaprowadzili go na ostry dyżur. Tam przekazali go lekarzowi, sami zaś pobiegli pod fontannę, gdzie od dobrych piętnastu minut czekała coraz bardziej zaniepokojona Moriah.

Kiedy ich spostrzegła, natychmiast ruszyła im naprzeciw.

– Henri! Nie pojmuję, jak mogłeś to zrobić?! Co ci przyszło do głowy, żeby uciekać? – W jej podniesionym głosie ulga mieszała się z wściekłością. – Nigdy więcej tak nie rób, słyszysz! Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Ale ja wcale nie uciekłem. Ja tylko...

– Nawet mi nie powiedziałaś, że odchodzisz! – Moriah w ogóle go nie słuchała. – Czy ty wiesz, jak ja się zdenerwowałam, kiedy zobaczyłam, że cię nie ma?

Blake'a ogarnęło współczucie dla chłopca, który nie miał szans powiedzieć bodaj słowa na swą obronę.

– Moriah, może najpierw posłuchaj, co się stało – zaproponował pojednawczo.

– Jeszcze go bronisz? – natarła.

– Ja tylko proszę, żebyś dopuściła go do głosu.

– Dobrze, niech mówi – zgodziła się. – Naprawdę nie chciałeś uciec, tylko pomóc słabszemu? – zapytała po chwili, wysłuchawszy relacji Henriego.

– Naprawdę. W sierocińcu często opiekuję się młodszymi dziećmi. Nie mogłem spokojnie patrzeć, jak duży chłopak tłucze mniejszego.

– Henri, powiedz mi prawdę. – Przyklękła i spojrzała mu w oczy. – Czy z jakiegoś powodu boisz się wracać do sierocińca? Czy ktoś robi ci tam krzywdę?

– Nie! – odparł, zdziwiony jej pytaniem.

– Dobrze. Chcesz już wracać?

– Tak! – Henri dotknął wiszących na ogrodzeniu kolorowych wstążek. – Myśli pani, że siostra Rita zabierze nas do miasta na festyn? Bo jeśli nie, to może ja bym się zgubił na jeszcze jeden dzień? – wyznał z rozbijającą szczerością.

Niespodziewanie dla samego siebie Blake postanowił mu pomóc. Wciąż dobrze pamiętał, jak to jest być tym, kogo omija fajna impreza.

– Może odwieziesz Henriego jutro? – podrzucił.

– Chyba żartujesz? – obruszyła się Moriah, zaskoczona, że w ogóle wpadł na taki pomysł. – Obiecałam siostrze Ricie, że odwiozę go, jak tylko zostanie wypisany. A on na sam koniec napędził mi takiego strachu.

– Przecież wiesz, że nie zrobił tego celowo. Moriah nie pojmowała, skąd u Blake'a ta nagła chęć występowania w roli adwokata Henriego.

– Nieważne, dlaczego to zrobił. Ważne, że jeszcze dziś wraca do sierocińca – odparła stanowczo.

– W porządku. Odwieziemy go i poprosimy siostrę Ritę, żeby zabrała dzieci na festyn. – Blake wymienił z chłopcem porozumiewawcze spojrzenie.

– My? – Uniosła w górę brwi. – Ja zorganizowałam transport, i to ja go odwiozę. A ty nie składaj pochopnie obietnic, których nie możesz dotrzymać!

– Jesteś zbyt zdenerwowana, żeby prowadzić. – Blake powiedział to łagodnie, ale Moriah i tak wyczuła, że opór jest bezcelowy. – Skoro już musisz go dziś odwieźć, pojedziemy tam razem.

– Niech ci będzie – zgodziła się niechętnie.

– Wobec tego daj mi pięć minut, żebym mógł się przebrać – poprosił, a widząc, że zamierza protestować, wskazał budkę z napojami. – Kup sobie coś zimnego, a my z Henrim zaraz wrócimy, prawda?

Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, poszli w stronę hotelu. Kupiła więc sobie sok i zrezygnowana usiadła przy fontannie, by na nich poczekać. Teraz, gdy emocje opadły, zaczęło dręczyć ją poczucie winy. Siostra Rita powierzyła jej Henriego, a ona przy pierwszej okazji straciła go z oczu. Bała się myśleć, co mogłoby się stać, gdyby był młodszy. Albo gdyby przydarzyło mu się coś złego. Dopiero teraz zaczynała rozumieć, dlaczego Blake wzbrania się przed wzięciem odpowiedzialności za wychowywanie dzieci.

Zgodnie z obietnicą Blake i Henri wrócili naprawdę szybko. Moriah wypatrzyła ich w tłumie. Obserwowała, jak nadchodzą od strony hotelu, pochłonięci rozmową. Zachowanie Blake coraz bardziej ją zdumiewało.

– Możemy jechać – oznajmił, gdy do niej podeszli.

– Mam nadzieję, że wciąż mamy czym – zauważyła z przekąsem.

Na szczęście pielęgniarka jeszcze na nich czekała.

– Przepraszam, że trwało to tak długo – powiedziała do niej Moriah. – Niedługo wrócimy i zaparkujemy samochód w tym samym miejscu. Kluczyki zostawimy w recepcji. Bardzo pani dziękuję. Henri, wskakuj do środka.

– Wiesz, jak tam dojechać? – zapytał Blake.

– Mniej więcej. Poprosiłam w hotelu, żeby mi wytłumaczyli.

– Wobec tego ja prowadzę, ty pilotujesz – oświadczył, biorąc od niej kluczyki.

Miała ochotę przekonać się na własnej skórze, jak jeździ się po peruwiańskich ulicach, ale uznała, że jak na jeden dzień ma dość mocnych wrażeń.

Siostra Rita już na nich czekała. Kiedy Henri zobaczył w drzwiach jej barwnie ubraną postać – siostra nie nosiła bowiem habitu, tylko ubierała się jak miejscowe kobiety, w kolorowe spódnice i bluzki – wyskoczył z samochodu i z radością pobiegł na spotkanie.

– *Hola*, siostrze. Gdzie Bonita? – zawołał.

– Czeka na ciebie. A państwa serdecznie zapraszam do środka – powiedziała Rita, uśmiechając się do Moriah i Blake’a. – Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna za to, co zrobiliście dla Henriego.

– Nie ma za co dziękować, siostrze. Naprawdę – odparła Moriah.

Wewnątrz przestronnego budynku panował przyjemny chłód. Idąc korytarzami za siostrą Ritą, mogli odpocząć od upału. Henri pobiegł przodem i zniknął w dużej kuchni. Gdy tam weszli, trzymał na rękach małą dziewczynkę i mocno ją do siebie tulił.

– Henri! Nareszcie wróciłeś! – piszcziała radośnie.

– Wróciłem, Bonito! – zawołał i ostrożnie postawił ją na ziemi. – Choć, przedstawię ci moich lekarzy. To jest doktor Moriah, a to doktor Blake. Przyjechali aż z Ameryki. To bardzo daleko, wiesz? – powiedział, a zwracając się do nich, z dumą dokonał prezentacji:

– To moja młodsza siostra, Bonita.

Siostra? Moriah przyglądała im się w osłupieniu. Henri nigdy nie wspominał, że ma rodzeństwo. Po chwili zaczęła dostrzegać, jak bardzo są do siebie podobni.

Nagle ogarnął ją wstyd, że podejrzewała Henriego o próbę ucieczki z sierocińca. Dopiero teraz zrozumiała, że podobna myśl nawet nie przyszłaby mu do głowy. Patrząc, jak z czułością otacza Bonitę ramieniem, pomyślała, że nigdy nie zostawiłby siostry w sierocińcu samej.

Oczywiście wiedziała dlaczego. Bo rodzeństwo zawsze trzyma się razem, bez względu na wszystko.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Blake oderwał na moment wzrok od drogi i zerknął na Moriah; zrobił to po raz dziesiąty w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Najpierw myślał, że zasnęła, ale ona nie spała. Zamyślona, wyglądała przez okno.

– Dobrze się czujesz? – zagadnął.

– Tak. – Jej apatyczny ton świadczył o czymś innym. – Jestem zmęczona. To był długi dzień.

– Owszem. – Wiele by dał, by poznać jej myśli.

Spędzili w sierocińcu dużo więcej czasu niż planowali. Blake zauważył, że Moriah przez cały czas przyglądała się Bonicie. Dosłownie nie mogła oderwać zachwyconych oczu od dziewczynki, która, co nawet on musiał przyznać, była po prostu słodka. Kiedy patrzył, jak Moriah, siedząc na podłodze, śmieje się i wygłupia z dziećmi, robiło mu się ciężko na sercu. Ze swą indiańską urodą naprawdę wyglądała jak ich mama. Nagle doznał olśnienia. Jakiś siódmy zmysł pozwolił mu podejrzeć przyszłość.

Adopcja jest rozwiązaniem, nad którym na pewno warto się zastanowić. W pewnym sensie Blake też został adoptowany przez bezdzietnych krewnych. Nigdy dotąd nie zastanawiał się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby przygarnęli go kuzyni obdarzeni gromadą dzieci. Czy też czułby jak odszczepieniec, czy może jak jeszcze jeden ze stada? Cóż, nic nie zmieni faktu, że został wychowany jak jedynak. Uważał, że człowiek w jego wieku już się nie zmienia.

A może rację mają ci, którzy twierdzą, że na pozytywne zmiany nigdy nie jest za późno?

Moriah chciała porozmawiać w cztery oczy z siostrą Ritą, więc na jakiś czas został z dziećmi sam. Henri popisywał się przed nim wiedzą zdobytą w szkole, Bonita pokazywała swoje zadziwiająco dojrzałe prace plastyczne, a on słuchał ich i wcale się nie nudził. Mało tego, w jakiś zdumiewający sposób czuł się dumny z osiągnięć tych obcych dzieci.

Chyba po raz pierwszy naszła go refleksja, że dzieci są kwintesencją nadziei, obietnicą lepszego jutra. Moriah z pewnością dawno już odkryła tę tajemnicę. Jaki więc sens będzie miało jego życie, skoro spędzi je samotnie?

Obydwoje wiedzieli, że pora wracać, ale Moriah długo zwlekała z pożegnaniem. Widać było, że nie potrafi rozstać się ze swym niedawnym podopiecznym. Po rozmowie z siostrą Ritą wróciła cicha i zamyślona, nie powiedziała jednak, o czym rozmawiały. Blake był dotąd przekonany, że członkowie jednej rodziny czują się sobie bliscy, gdyż mają podobny materiał genetyczny oraz wspólne doświadczenia życiowe. W czasie wizyty w sierocińcu odniósł wrażenie, że Moriah odczuwa silną emocjonalną więź z Henrim i Bonitą, choć wcale nie jest z nimi spokrewniona.

– Myślisz, że siostra Rita przywiezie dzieci na festyn? – spytała zniecierpliwiona.

– Chyba tak. Wydaje mi się, że miała to w planach.

– Oby. Bardzo chciałabym zobaczyć jeszcze raz Henriego i Bonitę. – W jej głosie pobrzmiwała tęsknota.

Dziwne, ale on też chciał zobaczyć dzieci. Nie podejmował rozmowy, gdyż nagle dotarło do niego, że misja w Peru dobiega końca. Jeszcze kilka dni i wróć do Stanów.

Mimo woli zaczął wspominać, jak rok wcześniej spędzali z Moriah ostatnią noc. Doskonale się bawili, dopóki George nie przekazał im smutnej wiadomości o śmierci Ryana. Potem stało się to, co się stało.

W tej chwili oddałby wszystko, by Moriah zechciała zaakceptować go takim, jaki jest. Miał tylko jedno marzenie: wrócić z nią do hotelu i kochać się do utraty tchu.

– Minałeś hotel.

– Przepraszam, zamyśliłem się. – Objechał ulicę i zatrzymał się dokładnie w tym samym miejscu, z którego wzięli samochód.

– Cóż. – Odchrząknęła cicho. – Dziękuję, że ze mną pojechałeś. Jutro nie mamy w planach żadnej operacji, więc pewnie spotkamy się na festynie.

Nie miał pojęcia, jak wytrzyma bez niej tyle czasu, ale nie próbował jej zatrzymywać. Czuł się winny, że zniknął na pół dnia, więc chciał jeszcze zajrzeć do szpitala, by sprawdzić, czy George nie potrzebuje pomocy.

– A więc do jutra – powiedziała i wysiadła z auta. Blake obserwował, jak po drodze zatrzymuje się obok szefa recepcji i wita z nim tak serdecznie, jakby znała go od lat. I właśnie wtedy przeżył kolejne tego dnia olśnienie. Zaskakująca prawda poraziła go swą oczywistością. Kocha Moriah. Nie od dziś i nie od wczoraj. Od lat. Gdyby ktoś zapytał, za co ją kocha, musiałby uczciwie odpowiedzieć, że właśnie za te cechy osobowości, które kiedyś uczynią z niej idealną żonę i matkę.

Nie mógł znieść myśli, że pewnego dnia Moriah wniesie szczęście i radość do domu innego mężczyzny.

Miasto ogarnięte festiwalową gorączką zmieniło się tak bardzo, że Moriah z trudem rozpoznawała znajome ulice szczelnie wypełnione przez barwny, hałaśliwy tłum. Wstążki i flagi na domach furkotały na wietrze, który niósł zapach aromatycznych potraw i piwa. Uliczny festyn w Trujillo rozkręcił się na dobre.

Moriah zerknęła w stronę straganu z piwem. Chętnie skosztowałaby tego miejscowego specjału, ale najpierw chciała znaleźć Henriego i Bonitę. Spóźniła się, więc nie wiedziała, gdzie są i musiała wypatrywać ich w tłumie.

Znalazła ich w kąciku zabaw dla dzieci. O dziwo, był z nimi Blake i bawił się w najlepsze, rzucając piłkami do celu. Moriah nie wierzyła własnym oczom.

– O, jest pani doktor! – ucieszył się Henri i podbiegł do niej z Bonitą. – Wszędzie pani szukaliśmy.

– Ja was też. Na szczęście się znaleźliśmy. – Pochyliła się, by dać im całusa. – Przyszłabym wcześniej, ale musiałam zostać w szpitalu. Widzę, że świetnie się bawicie – zauważyła, patrząc pytająco na Blake'a.

– Możemy zostać na koncercie? – zapytał Henri.

– Obawiam się, że nie – odparł Blake. – Przecież siostra Rita mówiła, że wasz autobus niedługo odjeżdża.

– Szkoda! – Chłopiec był bardzo zawiedziony. – Chcieliśmy popatrzeć, jak ludzie tańczą.
– Może chcecie coś do jedzenia albo do picia? – Moriah skinęła w stronę pobliskiego straganu.

– Ja chcę pić – powiedziała Bonita.

– Kupię sok. – Blake podszedł do sprzedawcy, zanim Moriah zdążyła sięgnąć po pieniądze.

Chwilę później podeszła do nich siostra Rita.

– Czyja wam nie mówiłam, że o siódmej macie być przy autobusie? – zapytała, udając, że się gniewa. – Widzę, że jesteście tak rozbawieni, że całkiem o tym zapomnieliście.

– To moja wina, siostrze – przyznała Moriah. – Spóźniłam się, a chciałam się nimi jeszcze nacieszyć.

– Henri, weź Bonitę za rękę i idźcie już do autobusu, dobrze? – poleciła siostra.

– Dobranoc. Dziękujemy za wszystko. – Dzieci przytuliły się do Moriah i Blake’a.

Moriah poczuła się strasznie. Myślała, że nie zniesie tego rozstania.

– Obiecujcie mi, że do mnie napiszecie. Będę czekała na wasze listy.

– Na pewno do pani napiszemy – obiecali.

– No już, biegnijcie – ponagliła ich siostra. – Chcę zamienić z panią doktor parę słów.

– Skoro tak, odprowadzę dzieci – zaoferował się Blake i taktownie zostawił je same.

Co mu się stało? Moriah była coraz bardziej zdziwiona jego nietypowym zachowaniem. Czyżby nagle polubił dzieci? Na wszelki wypadek postanowiła nie robić sobie złudnych nadziei.

– Zastanawiałam się nad pytaniem, z którym pani się do mnie zwróciła – zaczęła siostra z namysłem. – Jak już mówiłam, obywatele Stanów Zjednoczonych zwykle nie otrzymują zgody na adopcję peruwiańskich dzieci.

– Tak, pamiętam. – Moriah była bardzo rozczarowana, gdy to usłyszała. Naiwnie sądziła, że nie będzie z tym żadnych problemów.

– Istnieją jednak sytuacje wyjątkowe. Zawsze może pani zwrócić się z prośbą bezpośrednio do najwyższych władz. Ja chętnie pomogę – zaznaczyła siostra Rita.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Przyniosłam pani formularze i materiały informacyjne. – Zakonnica podała jej grubą teczkę. – Mam nadzieję, że nie zniechęcą pani ostre wymagania, które stawia się rodzicom adopcyjnym. Jeśli naprawdę chce pani zastąpić matkę tym dzieciom, musi pani być przygotowana, że będzie to wymagało wiele wysiłku, czasu i energii.

– Jestem na to przygotowana, siostrze. I na pewno nie poddam się bez walki.

– Wiem, moja droga. – Siostra Rita zamknęła jej dłoń w swych ciepłych rękach. – Od razu wiedziałam, że będzie pani walczyć. Bóg ma wobec nas swoje plany. Jeśli zechce, wszystko nam się uda.

Moriah bardzo chciała w to wierzyć, zwłaszcza w kwestii swoich uczuć do Blake’a. Na wszelki wypadek nie przyznała się, że ma pewne obawy co do bożych intencji wobec jej osoby.

Długo patrzyła, jak siostra Rita ustawia dzieci i pakuje je do autobusu. Ponieważ Blake

gdzieś się zawieruszył, postanowiła pójść do hotelu i schować gdzieś materiały, które dostała od zakonnicy. Powinna skakać z radości, bo w mrocznym tunelu wreszcie zapaliło się światelko. Jeśli dopisze jej szczęście, będzie miała tę swoją wymarzoną rodzinę. Tylko czy bez Blake'a będzie potrafiła się nią cieszyć?

Kocha go. Właśnie mijał rok, odkąd spadło na nią to uczucie. Dzisiejsza noc miała być ich ostatnią nocą w Trujillo. Zostało tak niewiele czasu. Gdy za kilka dni się rozstaną, pewnie nie spotkają się już nigdy więcej. Chyba że przyjmie warunki Blake'a i wyrzeknie się dla niego swoich marzeń.

Przystanęła, tocząc ze sobą wewnętrzną walkę. Nie czuła się gotowa do takiego poświęcenia.

– Moriah? – Blake ucieszył się, że wreszcie ją odnalazł. Po tym, jak odprowadził dzieci do autobusu, na długo zniknęła mu z oczu.

Ledwie ją poznał, gdyż zdążyła się przebrać. Teraz miała na sobie kolorową spódnicę i białą bluzkę z cieniutkiej gazy. Wyglądała w tym stroju jak jedna z pięknych Peruwianek.

– Cześć, Blake! Zobacz. – Wskazała scenę, na której odbywały się tańce. – Widzisz Rashę i Manuela? Obiecałam im, że się tu z nimi spotkam. Cudowni są, prawda?

Widok był rzeczywiście niezwykły. Kobiety, zalotne i kolorowe jak rajskie ptaki, kręciły uwodzicielsko biodrami, wabiąc do siebie partnerów. Pośród tancerzy dostrzegł znajome młode małżeństwo. Poruszali się zmysłowo, wtuleni w siebie, emanujący erotyzmem, głusi na wszystko, co dzieje się wokół. Widać było, że tych dwoje świata poza sobą nie widzi.

Blake poczuł, jak pod wpływem płynących ze sceny gorących rytmów budzi się w nim przyjemne podniecenie. Rozgrzana krew zaczęła pulsować mu w skroniach.

– Zatańczysz za mną? – zapytał, biorąc Moriah za rękę. Zawahała się, a potem miękko wtuliła się w jego ramiona. Dotknął policzkiem jej włosów, z rozkoszą wdychając ich cytrusowy zapach.

– Nie sądziłam, że tak dobrze tańczysz – szepnęła po kilku taktach.

Milczał. Marzył o tym, by znaleźć się z nią daleko od zatłoczonej sceny, ale wiedział, że ten taniec musi mu na razie wystarczyć. Cieszył się więc, że znów trzyma ją w ramionach, słucha cichego szelestu, z jakim jej spódnica ociera się o jego nogi, rozkoszuje się jej ciepłem. Jego serce wypełniała ogromna tęsknota. Gdy niespodziewanie pocałowała go w szyję, na moment pociemniało mu w oczach. Przytulił ją do siebie jeszcze mocniej i zaczął ją całować. Bez pośpiechu, namiętnie, aż do utraty tchu.

– Błagam, wróć ze mną do hotelu – jęknął, czując, że dłużej nie wytrzyma.

– Dobrze. – Jej prosta odpowiedź obudziła w nim jeszcze większe pożądanie.

Wziął ją za rękę i zaczął przedzierać się przez tłum, taranując każdego, kto nieopatrznie wszedł mu w drogę.

– Ludzie, był wypadek! – zawołał nagle ktoś gdzieś z boku. – Autobus wpadł na skały. Tu niedaleko!

– Co on mówi? – Moriah stanęła jak wryta i zacisnęła palce na jego ramieniu. – Autobus miał wypadek?

– Tak. – W pierwszej chwili wściekł się, że złośliwy los odbiera mu nawet tych kilka ostatnich godzin, które chciał spędzić z Moriah. Wiedział jednak, że gdzieś niedaleko ludzie czekają na ratunek. – Chodźmy.

– O Boże, Blake! Oby to nie był autobus, który wioził dzieci do sierocińca. Przecież tam są Henri i Bonita.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Henri i Bonita? Blake miał pustkę w głowie. Nagle zabrakło mu tchu. Każdy wypadek sam w sobie jest straszny, a co dopiero taki, gdzie wśród ofiar są dzieci! Wolał nie myśleć o ich drobnych ciałach uwięzionych wśród pogiętych blach.

– Szybko! Chodźmy!

Ponieważ mnóstwo ludzi rzuciło się w tym samym kierunku, w wąskiej uliczce szybko zrobił się ścisk. Blake mocno chwycił Moriah za rękę i nie zważając na nic, parł do przodu. Na czas festynu ruch w centrum miasta został wstrzymany, więc nie było szans, że uda im się załapać taksówkę. Moriah przystanęła tylko na chwilę, by zdjąć sandały na obcasie. Potem biegła boso po rozgrzonym asfalcie.

Na miejsce wypadku dotarli dość szybko. Rozbity autobus leżał na boku, a z wraku dobiegały krzyki rannych. Blake był tak wzburzony, że nie potrafił rozpoznać, czy są to głosy dzieci czy dorosłych.

– Autobus jest niebieski. Taki sam jak ten, którym przyjechali! – Z wysiłku i silnych emocji Moriah rwał się głoś.

Większość autobusów w Peru ma taki kolor, pocieszał się Blake, nie dopuszczając do siebie myśli o najgorszym. Wraz z grupą mężczyzn podbiegł do wraku i próbował otworzyć drzwi. Te jednak były zakleszczone, więc wspiał się na górę i spróbował dostać się do środka przez okno. Po chwili wcisnął się między powyginane siedzenia. Szybko zorientował się, że wśród pasażerów są głównie dzieci. Niemal z każdej strony słyszał dziecięcy płacz, więc bez zastanowienia przedarł się do dziecka, które było najbliżej.

– Nie bój się, zaraz cię stąd wydostanę. Powiedz, gdzie cię boli najbardziej.

– Blake! – Moriah wsunęła głowę przez dziurę wybitą w szybie. – Posłuchaj, trzeba ich stąd jak najszybciej powyciągać!

Ma rację, pomyślał.

– Czekaj, będę ci podawał tych, których dam radę podnieść.

Jedno po drugim wydobywał płaczące dzieci spomiędzy zniszczonych siedzeń, za każdym razem sprawdzając, że to nie Henri albo Bonita. Po pewnym czasie we wraku zostali sami dorośli, którzy nie odnieśli poważnych obrażeń, ale i oni szybko znaleźli się na zewnątrz. Blake wyczołgał się z autobusu jako ostatni.

– To był autobus do Chimbote. Nie ma ofiar śmiertelnych ani ciężko rannych. Większość pasażerów odwieziono już do szpitala. – Moriah usiadła obok niego na kamieniach i zdała mu relację.

– Dzięki Bogu – wysapał, ocierając pot z czoła. – Bałem się, że będzie gorzej.

– Ja też. Nigdy dotąd nie widziałam cię tak zdenerwowanego – przyznała.

Wstał i wzięwszy ją za rękę, ruszył w stronę miasta.

– W takiej sytuacji każdemu puściłyby nerwy – odparł. – Najbardziej bałem się, że w środku znajdę ciężko ranne dzieci, którym nie będę mógł pomóc.

– Chyba powinniśmy pójść do szpitala, prawda? Trzeba sprawdzić, czy nie potrzebują

pomocy.

– Masz rację – zgodził się.

Kilka godzin później Moriah postanowiła wracać do hotelu. Blake został jeszcze w szpitalu. Uznał, że nie może zostawić lekarza i dwóch pielęgniarek z ostrego dyżuru, którzy mimo najszczerszych chęci nie byli w stanie zająć się tak dużą liczbą pacjentów.

Ulice, które jeszcze niedawno tętniły życiem, opustoszały. Festyn dobiegł końca. Szkoda, westchnęła Moriah, wchodząc do hotelu.

Najbardziej żałowała, że mieli z Blakiem tak mało czasu dla siebie. Starczyło go zaledwie na jeden taniec. Ale za to jaki! Widocznie taki jest boski plan, stwierdziła filozoficznie. Powinna się cieszyć, że zostały jej piękne wspomnienia, bo tych nikt jej nie odbierze.

Mimo zmęczenia zaczęła się pakować. Nazajutrz punktualnie o szóstej rano mieli wyjechać autobusem do Limy. Układając rzeczy w walizkach, myślała o wyzwaniu, z jakim będzie musiała się zmierzyć. Samotne macierzyństwo. To, co przeżyła, gdy zniknął Henri, uświadomiło jej, co ją czeka. Trudno. Poradzę sobie, postanowiła twardo. Była bardzo ciekawa, jaki dom stworzy swoim dzieciom. Dzieciom, o których mawia się, że nie są z brzucha, ale z serca.

Nagle ogarnął ją lęk. Co będzie, jeśli się okaże, że podjęła złą decyzję? Może nie powinna rezygnować z miłości do Blake'a? Henri i Bonita wyglądali na szczęśliwych. Kto dał jej prawo odcinać ich od świata, który dobrze znają i rozumieją?

Głośnie pukanie do drzwi wyrwało ją z zamyślenia. Nie spodziewała się gości, zwłaszcza o tej porze.

– Blake! Wejdz! – Otworzyła szeroko drzwi. Przestraszyła się, że przyszedł, by dokończyć przerwany taniec. Tymczasem czar prysł. Nie sądziła, by udało im się odtworzyć niezwykle nastrój tamtej chwili.

– Musimy porozmawiać – oznajmił.

– O tej porze? – Wymownie spojrzała na zegarek.

– Nie możemy poczekać z tym do jutra?

– Nie. Jutro nie będzie na to czasu.

– A więc dobrze. Porozmawiajmy. – Usiadła na łóżku i starannie wygładziła fałdy spódnicy. – Stało się coś?

– Kocham cię! Właśnie to się stało!

– Usiądź, Blake. – Poklepała miejsce obok siebie.

– I zacznij od początku.

Usiadł.

– Kocham cię. Od dawna, ale dopiero teraz zrozumiałem, jak silne jest to uczucie. I przyszedłem prosić, żebyś dała mi szansę.

– Szansę? Co masz na myśli?

– Czy zgodzisz się zostać moją żoną? Wiem, to znaczy przeczuwam, że potrafię być dobrym mężem. Jeśli mi pomożesz, z czasem nauczę się być dobrym ojcem.

– Jesteś pewien, że wiesz, na co się decydujesz?

– Stłumiła w sobie pierwszy poryw radości. – Rodzicielstwo to nie jest eksperyment, nie można podchodzić do tego na zasadzie: „Wyjdzie, dobrze. Nie wyjdzie, trudno” – zauważyła trzeźwo.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę – przyznał, zrywając się z miejsca. – Ten wypadek pomógł mi przejrzeć na oczy – dodał, krążąc nerwowo po pokoju. – Modliłem się, żeby wśród rannych nie było Henriego i Bonity. I nagle dotarło do mnie, że decyzję o tym, żeby nie mieć dzieci, podjąłem, kierując się chłodną logiką, a nie sercem. Nie miałem szczęścia dorastać w kochającej się rodzinie. Mimo to nagle poczułem się związany z dwojgiem zupełnie obcych dzieci.

– To, że je polubiłeś, wcale nie znaczy, że jesteś gotów zastąpić im ojca – zastrzegła.

– Wiem. I wiem też, że będę musiał sporo się nauczyć. Szkoda, że dzieci nie przychodzą na świat wyposażone w instrukcję obsługi.

– Szkoda... – Roześmiała się.

– Powiedz, pomożesz mi?

– Tak. A wiesz dlaczego? Bo ja też cię kocham. Takiego, jaki jesteś. Całego. Nawet tę pokreconą część twojej osobowości, która nie chce mieć dzieci.

– Która nie chciała mieć dzieci – sprostował. – Adopcja to długi proces. Zdażę oswoić się z nową sytuacją. Ale jeśli zgodzisz się za mnie wyjść, nie chciałbym czekać ze ślubem. Najlepiej, żebyśmy wzięli go jutro.

– Nie zapominaj, że peruwiański rząd może nie wydać zgody na adopcję – zaznaczyła. – Poza tym niedawno powiedziałeś, że nie lubisz mojej rodziny. Pamiętasz?

– Nie ukrywam, że będę musiał się do was przyzwyczaić. Może zaczniesz oswajać mnie z nimi powoli? Najpierw jeden brat, potem drugi, potem siostra...

I tak dalej.

Roześmiała się.

– Nie ma sprawy. Zgadzam się, że moja rodzina w dużej dawce bywa ciężkostrawna.

– Moriah, uwierz mi, że zrobię wszystko, żebyś była ze mną szczęśliwa.

– Ja też ci to obiecuję.

– Więc jak brzmi ostateczna odpowiedź? – zapytał, otaczając ją ramionami.

– A możesz powtórzyć pytanie?

– Oczywiście. – Z czułością odgarnął włosy z jej twarzy. – Zostaniesz moją żoną?

– Tak. – Pocałowała go mocno, a potem pociągnęła go w stronę łóżka. – I będę miała z tobą dzieci. Dużo. Chodź, nie mamy czasu do stracenia. Pamiętaj, że musisz się jeszcze sporo nauczyć – dodała żartobliwie, rozpinając mu koszulę.

– A więc udziel mi pierwszej lekcji – odparł rozbawiony. Moriah pomyślała, że jego śmiech nigdy nie brzmiał bardziej beztrosko.